

Józef Ciembroniewicz

---

RAJ PTASI

---

PEDAGOGICZNA  
BIBLIOTEKA  
WOJEWÓDZKA

Gdańsk-Wrzeszcz  
Al. Gen. J. Hallera 14



111083

Johnson



RAJ PTASI.



BIBLIOTEKA-DLA-MŁODZIEŻY

MAJ.

Tom V.

JÓZEF CIEMBRONIEWICZ.

RAJ PTASI.

Nadzwyczajne przygody dwóch chłopców  
NA TAJEMNICZEJ WYSPIE.

Z ILLUSTRACYAMI

WARSZAWA

NAKŁAD REDAKCYI „PRZYJACIELA DZIECI”

1910

K. 142 / 82



M1083



## Wicek i Wacek.

Już to przyznać trzeba, że Wicek i Wacek nie należeli do spokojnych chłopców.

Obydwaj synowie bogatych, kupców w Gdańsku, obfitowali we wszystko, a że rodzice ich ustawicznie zajęci byli przeróżnymi interesami, Wicek i Wacek przebywali więcej po za domem, niż w domu.

Nie było takiego kąta w Gdańsku, któregooby nie znali, żaden prawie okręt nie zawinął do portu, żeby go oni nie spostrzegli, a prawie ze wszystkimi żeglarzami byli za pan brat.

Mówiąc źle o nich, trzeba im jednak oddać tę sprawiedliwość, że były to tak zwane otwarte głowy i nauka przychodziła im bardzo łatwo. Dzięki też temu, rodzice przebaczali im niejedno.

Pewnego razu Wicek i Wacek wyszli z klasy, a że mieli ogromnie bystry wzrok, zobaczyli z daleka na Długim Rynku wielkie zbiegowisko ludzi.

Zaciekawieni, przyspieszyli kroku i ujrzeni wspa-  
niale wznoszący się w powietrzu balon, z przyczepioną  
do niego u dołu łódką. Zapytawszy najbliższego są-  
siada, coby ten balon znaczył, dowiedzieli się, że przy-  
był do Gdańska Włoch jeden i będzie wzbijał się ba-  
lonem w obłoki.

Obszedłszy kilka razy balon naokoło, chłopcy  
spojrzeli na siebie. Tak dobrze się znali, tak byli po-  
dobni do siebie, że przysiędźby można, iż jedno i to  
samo pomyśleli.

— Ach, jakby to było dobrze przejechać się tym  
balonem!

— Wiesz co, w nocy go chyba pilnować nie bę-  
dą, bo i po co?

Więcej obaj lekkomyślni chłopcy nie potrzebowali  
mówić ze sobą.

Wieczorem Wicek powiedział rodzicom:— „Idę do  
Wacka!“ Wacek zaś swoim:— „Idę do Wicka!“ i wym-  
knęli się z domu.

W porcie przesiedzieli do godziny jedenastej.

Gdy ruch uliczny osłabł, plac targowy opustoszał,  
pomknęli jak dwa cienie w stronę balonu.

Z początku krażyli z daleka, wyteżając bystry wzrok, czy nie zobaczą kogo, potem posuwali się ostrożnie, coraz bliżej i bliżej, aż wreszcie zatrzymali się przy linach podtrzymujących balon.

--- Zdaje się niema nikogo!—szepnęła Wicek.

— Napewno niema — odpowiedział również cicho Wacek.

— Dalej w górę!

Wicek pochwycił jedną linę, Wacek drugą i jak dwie wiewiórki pomknęli chłopaki ku łódce balonowej.

Znaleźli się w niej prawie równocześnie:

— Ho, ho! co tu skarbów! O, widzisz tu jakieś worki, tu chleb, tu coś tak jak kotwica! — wykrzykiwał Wicek, a Wacek tymczasem oglądał liny.

— Pyszna rzecz! Wiesz, liny przyczepione są na kółkach tak, że je można w każdej chwili odjąć!

— To odejmujemy!

I nie namyślając się dłużej, odhaczyli liny z dwóch stron.

Balon przechylił się gwałtownie i kto wie, czy skutkiem tego, że z jednej strony przytrzymała go jeszcze jedna lina, nie byłby się przewrócił, ale przytomny Wacek odczepił szybko i trzecią linę.

Uwolniony olbrzym pomknął tak szybko w górę, że chłopakom aż dech w piersiach zapało.

Nim zdołali się zastanowić nad swym nierozważnym krokiem, gwałtowny wicher zadał i popędził balon na pełne morze.

Chłopcy bezradnie przytulili się do siebie.

Jak daleko mogli okiem sięgnąć, unosił się nad nimi jednostajny lazur nieba, pod nimi znów nieprzejrzany obszar wody.

— Słuchaj Wicek—szepnął Wacek, jak gdyby się obawiał, że go kto posłyszysz — zdaje się, że zrobiliśmy kapitalne głupstwo! Kto wie, gdzie nas teraz ten przekłety wiatr zapędził!

— Cicho, nie mów! Módlmy się lepiej, bo innej rady niema!

I upokorzeni chłopcy, trzymając się lin, ukłękli w łodzi i wzniesli oczy do Pana nad pany, który jedynie mógł im pospieszyć z ratunkiem.

A balon, to unızał się, to podnosił, lecz pędził nieprzerwanie w jednym kierunku.

Pokrzepieni modlitwą, chłopcy, przytuleni do siebie, zdrzemnęli się.

Dzień już był jasny, gdy się ocknęli.

Rozejrzawszy się dokoła siebie, wykrzyknął nagle Wacek:

— Widzisz, widzisz wspaniały jakiś ptak zbliża się ku nam!

Wicek spojrział we wskazanym kierunku i ujrzał ptaka, którego skrzydła wynosiły ze cztery metry.

Ptaszysko to okrążało balon naokoło, przypatrując mu się z podziwem; obserwacye te widocznie wypadły na niekorzyść balonu, ptak bowiem wzbił się w górę i jak kula spadł na balon.

Dało się słyszeć kilka silnych uderzeń w powłokę balonu, a po chwili balon szybko począł spadać na dół.

— Spadamy. spadamy, pod nami ziemię widać! Uratowani jesteśmy!—wykrzyknął radośnie Wacek.

— Powiedz raczej, zgubioni jesteśmy!

— Dlaczego?

— Balon spada z taką szybkością, że przy zetknięciu się z ziemią musimy się zabić!

Radość Wacka znikła w jednej chwili, a Wicek poważnie patrzył na dół:

— Wszystko jedno, a nawet lepiej, że się zabijemy, spadamy bowiem na jakąś bezludną wyspę!

— Czekaajno, czekaajno, zdaje mi się, że balon zmienił cokolwiek kierunek!

Rzeczywiście balon spadający dotychczas prostopadle, posunął się cokolwiek na bok.

— Spadamy w morze, w morze!

W tej chwili coś plusnęło, chłopcy poczuli wodę pod sobą, a równocześnie spadło na nich z góry coś ciężkiego.

Nim zorientowali się, co się stało, silniejszy jakiś bałwan wyrzucił łódź, resztę przebitego balonu i ich na brzeg.

Pierwszy przyszedł do siebie Wicek, a zobaczywszy leżącego obok siebie bez przytomności towarzysza, zbliżył się do niego:

— Wacku, Wacku, uratowani jesteśmy! Przyjdź do siebie! Spójrz na mnie!

Nie pomagały jednak nic najczulsze słowa. Wicek jednakowoż nie stracił głowy, tylko począł Wacka silnie nacierać i po pewnej chwili udało mu się przyprowadzić towarzysza do przytomności.

Pierwszem pytaniem Wacka było, gdy oczy otworzył:

— Gdzie jesteśmy?

— Nie wiem: Woda wyrzuciła nas prawdopodobnie na brzeg tej bezludnej wyspy, którą widzieliśmy z łódki balonu.

Wacek, słysząc to, usiadł i rozglądał się ciekawie.

— Nie, nie jesteśmy sami! Widzisz tam, na tych skałach, gromada dzieci w białych fartuszkach wygrzewa się na słońcu, a jeżeli są tutaj dzieci, to muszą być i ich rodzice!

— Dzieci widzę, ale dziwi mnie to, że są one wszystkie jednakowo ubrane!

— Może tu taki zwyczaj. Pensyonarki z pensyi pani Gertrudy także przecież noszą jednakowe ubranie i jednakowe fartuszki.

— Niema się co namyślać, chodźmy tam!

— W każdym razie ukryjmy przedtem łódź i te zapasy, które nam morze z powietrznej żeglugi uratowało!

Wspólnemi siłami pociągali chłopcy łódź do pobliskich krzaków i z radością przekonali się, iż dzięki temu, że ich i łódź przykryła przedziurawiona powłoka balonu, z zapasów nic nie zginęło.

Uporawszy się z tem, ruszyli brzegiem morza ku widniejącym w oddali skałom.

W miarę jak się zbliżali ku mniemanym dzieciom, oczy ich otwierały się coraz szerzej z podziwu.

— Toż to nie dzieci, to ptaki!

— Ptaki, ale takie jakies dziwne! W każdym razie podejźmy ku nim!

Rzeczywiście były to ptaki i dziwne ptaki.

Dorastały one do metra długości; z wierzchu były szare, pod spodem białe; głowę, wierzeh szyi, podgardla i dziób miały czarne; boki głowy zdobiła im plamka, a obie strony szyi piękna żółta pręga.

Ptaki te stały na krótkich nogach, a po obydwu bokach ich cylindrycznego tułowia zwieszały się małe, niezgrabne rączki, trudno bowiem było nazwać skrzydełkami te odrostki.

Na widok zbizających się chłopców ptaki te nie poruszyły się nawet, popatrzyły na nich tylko łagodnym, lecz równie jak fale oceanu pozbawionem blasku okiem i dalej dziobały spokojnie pokarm wsłuchując się w cichy szmer wody.

Chłopcy zapatrzyli się tak na ptaki, które się



ludzi nie lękały, że nie zauważyli, jak od środka wyspy zbliżał się ku nim jakiś wysoki mężczyzna.

Mężczyzna ów szedł śmiało, zobaczywszy jednak Wicka i Wacka, ukrył się szybko za jedną z wystających skał, a na twarzy jego odmalowało się zdumienie, graniczące wprost z przerażeniem.

— No, Wacek, nie mamy tu co dłużej stać! Napatrzymy się jeszcze dosyć tym ptakom, o ile bowiem mogę wnioskować, wypadnie nam dłużej, niż myślimy, posiedzieć na wyspie!

Wacek wzdrygnął się. Widząc to, Wicek chciał pocieszyć towarzysza niedoli i począł nadrabiać humorem:

— No! no! uszy do góry! Czegóż robisz głupią minę? Żal ci cieplej pierzynki? Tyle razy bawiliśmy się w porcie w „Robinsonów“, marzyliśmy o różnych, pełnych awanturniczych przygód podróżach, a teraz, gdy marzenia nasze spełnione, ty stoisz i zamiast cieszyć się, robisz minę jak zwykły mieszczuch gdański, gdy go burmistrz każe do kozy zamknąć!

— Jak tu nie mieć smutnej miny? Sami na bezludnej wyspie, cóż pocniemy?

— E, śmieję się, bracie! Nie jesteśmy sami. Nad nami Bóg czuwa, a mam nadzieję, że chociaż byliśmy zbytnikami, On, co o życiu najmarniejszego stworzonka pamięta, zginąć nam nie pozwoli.

Wicek wymówił to z takim przekonaniem, że aż twarz Wacka rozpodziła się cokolwiek.

Tymczasem nieznajomy człowiek, który się na razie schował, wyszedł z za skał i zbliżał się do chłopców.

Ogromna broda spływała mu do pasa, dziwaczne ubranie, z rozmaitych piór ptasich nadawało pozór jakiś fantastyczny.

— Kto jesteś, panie? Aniołem jesteś, czy człowiekiem?

— Człowiekiem, człowiekiem, jak wy nieszczęśliwym, ale bądźcie, jak powiedziałem, dosyć czasu potem na rozmowę!

Oslabieni, zmęczeni przebytymi wrażeniami, przytulili się do siebie i pierwszy raz od opuszczenia Gdańska zapłakali serdecznie.

Był w tych łzach i żal za przeszłe życie i radość, że znaleźli jakąś żyjącą istotę, która zajęła się ich losem.

### Opowiadanie samotnika.

Schodząc ze skały, trójka nasza posuwała się w milczeniu i dopiero gdy zeszli na dół, zawołał Wicio:

— Coż za cudowna roślinność!

— Gdy pobejdziecie tu jakiś czas, poznacie tę roślinność lepiej, poznacie też niejedne godne widzenia rzeczy. Dziwić się trzeba, dlaczego ludzie o tym prawdziwym rajem nic nie wiedzą!

— Jakto, więc na wyspie tej nikt nie mieszka?

— Oprócz mnie, a obecnie i was, nikt. Wyspę tą zamieszkują jedynie ptaki i mała ilość czworonogów i dlatego też nazwałem ją „Rajem ptasim!

— Bardzo ładna nazwa. Obiecałeś pan jednakowoż opowiedzieć nam, w jaki sposób dostałeś się na tę wyspę!

— Opowieść moja bardzo prosta i nic niezwykłego w sobie nie zawiera. Płynąłem jako majtek na okręcie „Victoria“. Wszystko zapowiadało, że podróż odbędziemy pomyślnie, pełni też dobrej myśli praco-

waliśmy żwawo, obiecując sobie po podróży wypoczynek. Niestety, jakże złudne były nasze nadzieje!... Trzeciego dnia żeglugi zerwał się gwałtowny huragan. Okręt przelatywał z fali na falę, jak łupina orzecha. Takiej burzy, ba! takiego orkanu, „Victorya“ nie przechodziła jeszcze nigdy. Z góry już wiedzieliśmy, jak walka nasza z rozszalałym żywiołem wypadnie. Błdzi, jak mary wypełnialiśmy rozkazy kapitana, a czując niechybną, zbliżającą się śmierć, polecaliśmy równocześnie dusze nasze Bogu. Tym razem nie myliliśmy się. Katastrofa nastąpiła niebawem, wcześniej nawet, niż się spodziewaliśmy. Czyliż mam wam opisywać, te straszne chwile, chwile pasowania się ze śmiercią, zagładającą nam w oczy? Po co? Chwila taka opisać się nie da dokładnie i o chwili takiej ten tylko może mieć pojęcie, kto raz bodaj oko w oko spotkał się ze śmiercią!

Tu opowiadający umilkł i jak gdyby przygnębiony wywołanymi wspomnieniami, westchnął ciężko.

Młodzi, stawiając się w jego położenie, które nie trudno im było sobie przedstawić, sami bowiem niedawno przechodzili coś podobnego, nie przerywali ponurej zadumy Samotnika.

A przed oczami rozbitka przesuwaly się widocznie i inne obrazy, wywołane wspomnieniem tej nie-  
szczęśliwej podróży. Wyrazista twarz jego, nie przy-  
zwyczajona do ukrywania wrażeń, odbijała jak zwier-  
ciadło każde poruszenie duszy.

W milczeniu postępowano przez dłuższy czas.

A milczenie to starała się widocznie uszanować  
i wspaniała przyroda wyspy.

Słońce posuwało się ku zachodowi — ni wietrzyk  
poruszył listkiem, ni świegot ptaka nie przerywał ma-  
jestatycznej ciszy.

Cisza taka nie może jednak długo istnieć w przy-  
rodzie.

Gdzieś — wysoko w powietrzu zatrzepotał skrzy-  
dłami jeden ptak, gdzieś w sąsiednich gęstych krza-  
kach poruszyły się jakieś zwierzęta i wkrótce znowu  
powietrze napełnił radosny rozgwar.

Ocknął się także i opowiadający z zadumy.

— I cóż wam więcej mogę powiedzieć o sobie?  
Co stało się z resztą załogi, nie wiem. Prawdopodo-  
bnie wyginęli wszyscy. Przyczepiony rozpaczliwie do  
złamanego masztu, nie wiem nawet, jak długo błąka-



łem się po falach, ani jak daleko odpłynąłem od miejsca katastrofy. Każda minuta w tem położeniu zdawała mi się godziną, a godziny wlokły się jak lata. Ręce i nogi od trzymania masztu drętwiały mi, woda zalewała mnie czasami całkowicie i cudem chyba dostawałem się na owym kawałku drąga na jej powierzchni. Gdy już omdlały i wyczerpany, na pół prawie żywy z wysiłku miałem puścić drąg, litościwa jakaś fala wyrzuciła mnie na brzeg tej wysepki. Dalšie moje losy, jeżeli czytaliście kiedy „Robinsona Kruzoë“ znacie. Na wyspie tej znalazłem się sam jeden— pozbawiony wszystkiego, a całym mym majątkiem, który uratowałem z rozbicia, był kawał masztu okutego żelazem. Nie śmieście się. Jak się później przekonałem, był to rzeczywiście znaczny majątek. Jak każdy rozbitek, pragnąłem przedewszystkiem wydostać się na najbardziej widoczny szczyt w tej nadziei, że ztamtąd zobaczą może jaki przejeżdżający statek i zwrócę na siebie jego uwagę odpowiednimi znakami!

— A jak długo już pan bawi na wyspie?

— Sądząc z odlotu ptaków, z pięć lat!

— I przez cały ten czas nie zobaczył pan ani jednego okrętu?

— Widziałem je kilka razy; płynęły jednak bardzo daleko i nie zwróciły uwagi na dawane przezemnie znaki. Później zająłem się zwiedzaniem wyspy, zagospodarowaniem się i postawieniem chaty, a że rodzice dawno mi już pomarli i nie bardzo było do kogo powracać, pokochałem me ptaki, przyzwyczaiłem się do samotności i nie wyglądałem już tak przejeżdżających okrętów!

— Musiał pan bardzo wiele przecierpieć tutaj?

— Nie tak znów wiele, jak myślicie. Naturalnie, że każdy początek trudny — teraz jednak jestem już prawie zadowolony z mego losu, a zaraz zobaczycie, jak się urządziłem!

— Czemże się pan żywi na tej wyspie?

— O, pożywienia nie braknie tu, ani dla mnie, ani dla was!

Ciekawa to i cudowna wyspa, ale nic wam o niej nie będę opowiadał, tem chętniej ją bowiem zwiedzać będziecie ze mną!

W tej chwili Wicek i Wacek zobaczyli wśród gąszczów najrozmaitszych krzewów regularnie wyciętą ulicę.

— Powiadasz pan, że nic nie uratowałeś z rozbitego statku, a jakimże cudem te ulice wyciąłeś?

— Kosztowało mnie to niemało trudu, i tę ulicę i miejsce pod domek wypalałem bowiem wytrwale, czuwając nad tem dzień i noc, żeby za silny ogień nie rozszerzył się po całej wyspie!

— A ogień wywołałeś pan naturalnie pocieraniem kawałka drzewa o drzewo, jak to czynią Indianie. Czytałem o tem niedawno!

— Tak!

— Dlaczego jednak wybrałeś pan sobie miejsce tak zarosnięte na osiedlenie. Przecież, o ile widziałem że skały, są na tej wyspie miejsca zupełnie pozbawione drzew i mniejby pana trudu kosztowało urządzić się w takim miejscu!

— To prawda! Za wybudowaniem jednak domku w osadzie śpiewaków przemawiały inne względy!

— W osadzie śpiewaków, powiadasz pan?—zapytał zaciekawiony Wicio — cóż to za śpiewacy się tu osiedlają?

— A do kata! Używam nadanych przez siebie nazw, a zapomniałem wam wyjaśnić, zkąd one powsta-



ly. Otóż trzeba wam przedewszystkiem wiedzieć, dla-  
czego wyspę tą nazwałem „Rajem ptasim“!

— Ja się po części domyślam!—zawołał Wacio.

— Proszę, powiedz, a zobaczymy, czy domysł  
twój prawdziwy!

— Wspominał pan, że wyspę tę zamieszkują sa-  
me tylko ptaki i na wyspie tej do niedawna pan był  
jedynym człowiekiem. Otóż jak niegdyś ludzie w raju  
tylko mieszkali, a stamtąd dopiero rozeszli się po ca-  
łym świecie, tak na wyspie tej gromadzą się wszyst-  
kie ptaki, a stąd dopiero wyruszają osiedlać się gdzie-  
indziej!

— Dzielnie to wywnioskował, mój chłopcze! Tak jest  
rzeczywiście. Nie jestem ja uczonym, ale podróżowa-  
łem już bardzo dużo po świecie i widziałem różne pta-  
ki, a na tej wyspie spotkałem wszystkie gatunki w in-  
nych stronach spotykanych ptaków!

— Dobrze, mój panie! Nie myśl, że nie wierzę  
w to co mówisz, nasuwa mi się jednak pewna wątpli-  
wość. Przecież nie wszystkie ptaki jednakowo żyją,  
nie wszystkie żywią się jednym tem samem!

— Spodziewałem się tego pytania. Otóż wyspa

ta podzielona jest, jak gdyby na ogrody i w ogrodach tych każdy gatunek ptaków znajduje wszystko, co potrzebuje do utrzymania życia. Według tych ogrodów podawałem poszczególne nazwy każdej z części wyspy, a wybudowałem sobie domek w osadzie śpiewaków, ponieważ ci leśni artyści umilali mi życie i koncertami swymi przypominali ojczyznę. Dzisiaj osada pusta, artyści bowiem pomaszrowali na całe lato na gościnne występy i powrócą dopiero, gdy ojczyznę mą pokryją śniegi. Zagadaliśmy się, a ot, i moja chateczka! Proszę was, goście moi, a po wypoczynku, wy opowiecie mi swoje przygody.

Skromnie nazwana przez właściciela chateczka zdumionemu Wiciowi i Wackowi, którzy wyobrażali sobie, że ujrzą jakąś lepiankę z gliny, wydała się palącem.

Domek wybudowany był z drzew bambusowych. Naokoło oplatały go wonne krzewy, po ścianach pięły się wiecznie kwitnące tutaj różnokolorowe powoje i najrozmaitsze rośliny strączkowe.

W domku znajdowało się łóżko bambusowe, stół i stołek. Ścianę zdobił olbrzymi krzyż bambusowy, przyozdobiony świeżem kwieciem. Widać, że biedny

samotnik często tu szukał ukojenia dla swej tęsknoty i pociechy w zwątpieniu.

Drugi pokój, a raczej przegroda, przeznaczony był widocznie na kuchenkę.

Samotnik, wprowadziwszy gości swych, rzekł:

— Witajcie w mym domku i uważajcie go od tej chwili za swój własny. Trochę wam z początku będzie tutaj niewygodnie, ale nie spodziewałem się gości. Tymczasem musicie pocierpieć, a jutro wspólnymi siłami zaradzimy brakom. Na razie zostawiam was samych i idę pomyśleć o kolacyi!

— Pozwól pan, żebyśmy ci w pracy tej dopomogli!

— Przyjdzie i na to czas. W przyszłości podzielimy się zajęciami, na razie jednak pozwólcie, że zabawię się w gospodarza. Tak dawno już ludzi nie widziałem, że obsługiwanie was zrobi mi prawdziwą przyjemność!

Kończąc te słowa, gospodarz wyszedł do kuchenki, z której powrócił, niosąc w tykwach smaczną jajecznicę i drewniane, niezgrabne łyżki.

Po jajecznicy podał jeszcze gościom wspaniałe

owoce i zapalił lampę, zaimprovizowaną z tykwy napełnianej olejem z jakichś roślin wyciśniętym, którym nasycony knot z włókien roślinnych palił się znakomicie i bardzo luksusowo, jak na takie stosunki, w jakich się rozbitkowie znajdowali.

— Teraz zajmę się przyrządzeniem posłania, a wy opowiadajcie, w jaki sposób dostaliście się do „Raju ptasiego!“

Wicio i Wacio, nie tając nic, opowiedzieli całą swą powietrzną wyprawę, a kiedy wspomnieli o łodzi i znajdujących się w niej narzędziach, oko Samotnika błysnęła radością.

— Po te skarby wyprawimy się jutro najpierwej, a że od nas do osady „Pletwonogich“ kawał drogi, zabierajmy się do spoczynku. Miejsce to będzie dla mnie pamiętne, tam bowiem spotkałem was po raz pierwszy, przypatrujących się *Bezłotkom olbrzymim!*

— Jakto, więc pan widział nas już tam?

— Dodaj i nie odezwałeś się nic do nas? Tak! Widziałem was. Lecz nie dziwcie się. Ba, tyle lat nie spotykałem tu ludzi, że zobaczywszy was zmieszalem się, zląkłem i dopiero przyszedłem do siebie zobaczywszy, że wybieracie się przez „Grzbiet Potępienia“

do „Skały Samotnika“. Biegłem naokoło, pragnąc was wyprzedzić, lecz spóźniłem się i gdybym był jeszcze chwilę później przyszedł, kto wie, jakby się było z wami skończyło! Przepaści tam mnóstwo!

— Ale już nie przypominajmy sobie o tem i zabierajmy się do spania!

Odmówiwszy głośno modlitwę, trzej rozbitkowie ułożyli się na posłaniu z mchu i znużeni podróżą i przebytymi wrażeniami, zasnęli wkrótce smacznie.

### W osadzie Płetwonogich.

Nazajutrz słońce było już bardzo wysoko, gdy Wicek i Wacek ocknęli się z pokrzepiającego snu.

Miejsce, na którym spoczywał gospodarz, było puste, a z przed chaty dochodziły uderzenia siekiery.

Widocznie poczciwy ten człowiek, nie chcąc budzić śpiących, wyniósł się pocichu z domu i zabrał do roboty.

Chłopcy, którzy wieczorem obiecywali, że dopomogą Samotnikowi przydorobieniu koniecznych wobec powiększenia się mieszkańców wyspy sprzętów, zawstydzeli się, że zaspali sobie, zerwali się szybko z pościeli i przyodziawszy się pospiesznie, wybiegli przed dom.

Samotnik zrobił już z bambusu jedno krzeselko, a obecnie niezgrabną siekierą, którą sobie widocznie sam zmajstrował z okucia masztu, przygotowywał drzewo na drugi stółek. Zobaczywszy wybiegających z chaty chłopaków, uśmiechnął się do nich wesoło:

— Nie pytam, jak się wam spało, sam bowiem widziałem, że spaliście jak zabici!

— Rzeczywiście spaliśmy znakomicie, tylko trochę za długo!

— Aż nas wstyd, że spóźniłiśmy się do roboty!

— No, no, nie macie się czego wstydzić! Młodzi jesteście, znużeni, nic więc dziwnego, że pospaliście sobie trochę dłużej!

Wicio tymczasem oglądał siekierkę, którą Samotnik rozmawiając, położył koło siebie.

— Bardzo to trudno musi być zrobić co taką siekierką!

— Rzeczywiście nie łatwo. Przyzwyczailem się jednak do niej i używam jej z coraz większą wprawą!

— Ale, ale, — wtrącił się do rozmowy Wacio — w łódce, która wraz z nami się uratowała, znajduje się skrzynka cała z narzędziami ciesielskimi. Jest tam piłka, jest hebel!

— A toż nie traćmy cznsu i zabierajmy się w drogę po te skarby. Przy sposobności zwiedzicie osadę Płetwonogich i zapolujemy na ryby.

W krótkim czasie trzech przyjaciele postępowali żwawo w stronę morza.

Dzień był prześliczny.

Nad nimi jaśniało lazurowe niebo, nie pokryte ani jednym obłoczkiem, powietrze poruszał leciuchny wiaterek, jak gdyby umyślnie na to, by chłodzić czoła podróżujących, a krakanie i pokrzykiwanie różnego ptactwa zlewało się w jakiś jednostajny, miły dla ucha pogwar.

— W szczególnej ja opiece mam tę osadę Płetwonogich. One to dostarczają mi jaj, ryb świeżych, a nawet dostarczyłyby mi i pierza, gdybym tylko miał płótno i mógł sobie porobić poduszki!

— O, płótno się znajdzie! Gdy orłosep przedziurawił nam balon, cała ogromna powłoka z płótna spadła na nas, zakryła nas i wszystko, co się na łódce znajdowało, ocalało, a poczciwa fala wyrzuciła nas na brzeg!

— Dobrze, że spokojni możemy być o to wszystko, co wam Opatrzność pozwoliła uratować z rozbicia. Skorzystamy z tego i zboczymy trochę do jeziora nurów. Chyba nie męczycie się tak łatwo?

— O, panie, cały dzień moglibyśmy biegać bez przerwy i jeżeli co nas kiedy martwiło, to chyba to, że musieliśmy po kilka godzin siedzieć nad książką!

— Jeżeli tak, to zgoda! Przygotujcie się na to, że będziemy po całych dniach chodzili!

Wśród miłej rozmowy, postępując za swym przewodnikiem, ani Wicek i Wacek nie spostrzegli, kiedy stanęli nad brzegiem dużego jeziora.

Zaledwo trzej podróżni znaleźli się nad przezroczystą wodą, gdy ze środka stawu zerwało się całe stado białych jak śnieg ptaków i szybko poczęło się zbliżać do brzegu.

Ptaki płynęły z pewnym wdziękiem i ogromną zręcznością. Długie, zgrabne ich szyje wygięte w kształ-



cie litery S, podniesione do góry skrzydła przedstawiały cudowny widok.

Zobaczywszy płynące ptaki, zawołał Wicio:

— O, Łabędzie, łabędzie!

— Tak, rzeczywiście, to łabędzie. Ludzie opowiadają o nich różne cuda, ale w rzeczywistości ptaki te nie odpowiadają temu poetycznemu pojęciu, jakie o nich ludzie mają.

— Dlaczego?

— Znam ja te ptaki dobrze. Są one niespokojne, samowolne, kłótlive i uspokajają się dopiero wtedy, gdy inne ptactwo, zamieszkujące wspólnie z nimi wody, podbija pod swe panowanie?

— I udaje im się to?

— Naturalnie. Są to bardzo silne ptaki i nikogo się nie obawiają. Pewnego razu zabłądził tu jakiś obcy orzeł i napadł na łabędzia. Wywiązała się pomiędzy nim a napadniętym łabędziem zacięta walka i co powiecie!... Łabędź, chociaż poraniony, zwyciężył i zmusił orła do odlotu!

— Nigdybym nie był tego przypuszczał, patrząc, jak te ptaki płyną spokojnie po sadzawce w parku, że są takie mocne.

— Chodźcie za mną ostrożnie w krzaki, pokaże wam ich gniazda.

Posunąwszy się kilka kroków za swym przewodnikiem, zobaczyli chłopcy na kępce, zewsząd otoczonej wodą, gniazdo niedbale wybudowane z sitowia i innych roślin wodnych, a w niem sześć, do ośmiu zielonawych jaj.

— Trzeba łabędziom przyznać, że rodzice z nich dobrzy. W czasie, gdy łabędzica wysiadauje jaja, łabędź nie odchodzi prawie od niej, czuwając bacznie, czy nie zbliża się jaki nieprzyjaciel. Gdy z jajek wykłują się pisklęta, zaledwo pokryją się szarym puchem, prowadzą ich rodzice na wodę i dopóki maleństwa zupełnie nie odrosną, bronią je przed każdym niebezpieczeństwem!

W tej chwili tuż prawie około Wicia rozległo się donośne gęganie i z pośród traw wysunęło się stado *gęsi*, poważnie prowadzone przez gąsiora.

Za nimi w pewnej odległości sunęły *kaczki*. Obydwa stadka zesunęły się zrećźnie do wody i popłynęły wzdłuż brzegu, poszukując żeru.

— Dalibóg, brakuje tylko Marcinowej!—wykrzyknął Wacio, klaszcząc w ręce—i jej wołania: taś, taś!

a zdawałoby mi się, że jestem w naszym ogrodzie na wsi, gdzie zwykle przepędzamy letnie miesiące!

Na wspomnienie domu obydwaj chłopcy zasepili się, lecz smutek nie mógł trwać długo. Uwagę ich zajęło ciekawe widowisko.

Przy przeciwległym brzegu wpadło z pięćdziesiąt może ptaków do wody. Zdawało się, że ciężka budowa ich przeszkadzać im będzie w pływaniu, okazało się jednakże przeciwnie, ptaki te pływają znakomicie i doskonale manewrują po wodzie.

Wpadłszy gromadą do wody, jakby na dany znak, ustawiły się szeregiem jeden koło drugiego, tworząc jak gdyby długi łańcuch. Tak ustawione, poczęły się posuwać szybko, kłapiąc od czasu do czasu dziobami. A charakterystyczne to były te dzioby. Długie i szerokie posiadały wierzchnią część spłaszczoną, opatrzoną na końcu hakiem. Dolna część dzioba składała się jak gdyby z dwóch patyków, pomiędzy którymi rozciągnięta skóra tworzyła rodzaj obszernego wora.

Cały ptak upierzony był biało, a ciało jego wynosiło do  $1\frac{1}{2}$  metra. Od białości ciała tem dziwniej odbijał dziób szary, upstrzony czerwonymi i żółtymi centkami, na brzegach czerwony oraz żółtawy wór.

— *Pelikany* ruszyły na polów ryb. Ptaki te nie mogą nurkować i muszą poprzestawać na zdobyczy, którą zdołają osiągnąć swym dziobem. Jak widzicie, pędzą one przed sobą ryby z głębiu, a zapędziwszy je na płytkie miejsca, zabierając się do uczyty.

Rzeczywiście tak się stało, jak *Samotnik* przepowiedział.

*Pelikany*, napędziwszy ryby ku brzegowi, gdzie woda była płytka, poczęły łamać szereg i zamykać koło. Uczyniwszy to, zanużyły dzioby w wodę i dalejże ładować ryby do swych worów przy dzióbach. Co chwila któryś z ptaków, napelniwszy wór zdobyczą, przyciskał dolną część dzioba do haka w ten sposób, że po bokach stworzyły się dwie szpary i szparami temi wyciekała woda.

*Wicek* i *Wacek* nie mogli się napatrzeć tym ptakom, a *Samotnik*, widząc ich zaciekawienie, mówił:

— Niedaleko stąd posiadają *pelikany* swoją kolonię. Gniazda ich znajdują się z tamtej strony bagnistego jeziora, a ustawiają je prawie jedne koło drugich. Prócz tych, które widzicie, są tu jeszcze inne gatunki *pelikanów*, a mianowicie szary z pięknym kę-

dzierzawym czubem na głowie, oraz brunatny, który nie tylko dobrze pływa, ale może także i nurkować!

— A czy to prawda — zapytał Wacio — że pelikany żywią swe małe własną krwią, rozdzierając swe piersi?



Orłosep.

— Nie zauważyłem nic podobnego. Dbają bardzo o swe małe i może który z poetów, chcąc to lepiej uwidocznić, użył tej przenośni, a ludzie wzięli to w dosłownem znaczeniu. No, ale chodźmy dalej!

Chłopcy posłuchali, za ledwo jednak oddalili się od jeziora o kilkadziesiąt kroków, zawołał Wacio:

— Panie, panie, a dlaczego to te drzewa pokryte taką białą powłoką?

— O, i coś tu bardzo nie pachnie!—dodał Wicio, krzywiąc nosem. Czyśmy się przypadkiem nie dostali do kolonii pelikanów?

— Nie! Popatrzcie dobrze do góry, a ujrzycie tam sprawców tego nieporządku!

Wicio i Wacio wyteżyli wzrok i zobaczyli ptaki na 90 centymetrów długie. Ptaki te posiadały grzbiet i skrzydła brązowe, z pięknym metalicznym połyskiem, głowę, szyję, piersi i podbrzusze zielonawo-czarne, lotki zaś i sterówki czarne, a na podgardlu dużą, białą plamę.

— To moi rybacy!

— Jakto, ptaki te łowią panu rzeczywiście ryby?

— Zaraz zobaczycie!

Tu Samotnik począł pogwizdywać w szczególny sposób, a na dźwięk ten kilka *kormoranów*, one to bowiem były, zleciało z drzew i przyleciało do niego, siadając mu bez ceremonii na głowie i na ramionach.



Komorany nurkują doskonale i chwytają ryby  
z zadziwiającą zręcznością.

Samotnik wybrał z pomiędzy nich dwa największe ptaki i odpędziwszy inne, wybrańców posadził na ramieniu. Jak gdyby dumne z wyboru, kormorany nastroszyły pióra i siedziały spokojnie, a reszta z głośnym krzykiem odleciała z powrotem na drzewa.

Gdy przybyli na brzeg morza, na dany znak kormorany zerwały się z ramienia i pofrunęły na pełne morze. Po jakiejś chwili spadły na wodę, zanurzyły się i dosyć długo nie było ich widać, gdy zaś pojawiły się na powierzchni wody, zdziwieni chłopcy zobaczyli, że wzajemnie sobie pomagając, dźwigają większą od siebie rybę ku brzegowi.

Oddawszy Samotnikowi zdobycz, pofrunęły kormorany znowu na morze i powtarzały swe wyprawy dotąd, dopóki Samotnik nie dał im znać, że na razie łowy są skończone.

Zapolowawszy jeszcze kilka razy dla siebie, kormorany powróciły do swej kolonii.

Zaledwie kormorany znikły, wskazał Samotnik chłopcom niezgrabnie kroczącego ku morzu ptaka.

— To głuptak! Spełni on taką samą rolę dla fregaty jak kormoran dla nas. Jest jej nadwornym do-



stawcą ryb. O, jest i fregata!—zobaczycie zaraz, w jaki się to dzieje sposób.

Głuptak tymczasem, doszedłszy niezgrabnie brzegu morza, wzbil się w powietrze i zawisł nieruchomie nad wodą, upatrując stosownej chwili, by mógł się rzucić na zdobycz.

Równocześnie ukazał się w powietrzu drugi ptak, taki duży jak kormoran, ale posiadający znacznie dłuższe skrzydła, skrzydła te bowiem wynoszą rozłożone blisko trzy metry, podczas gdy skrzydła kormorana dosięgają zaledwo  $1\frac{1}{2}$  metra.

Ptak ten był ślniaco-czarno-brunatnej barwy, z purpurowym i zielonawym odblaskiem. z gołą łatką na podgardlu. Nogi miał czerwone, dziób u nasady jasno-niebieski, w środku biały, na końcu czerwony.

Głuptak, upatrzwszy zdobycz w wodzie, rzucił się na nią, pochwycił ją i wzbil się z powrotem w górę. Na tę chwilę czekała widocznie fregata. W jednej chwili spadła z góry na głupłaka, uderzyła go parę razy w głowę, a kiedy przerażony ptak wypuścił z dzioba złowioną rybę, fregata pochwyciła ją, nim ryba dosięgła powierzchni morza i skonsumowała z ape-

tytem, nie zwracając więcej uwagi na nieszczęśliwego łowcę.

— A to dopiero rozbójnik!

— Sam nie chce sobie zamoczyć piórek, więc odbiera innym zdobycz!

— No, nie potępiajcie go znowu tak bardzo! Jest on poniekąd zmuszony do takiego postępowania. Gdybyście przypatrzyli mu się z blizka, zobaczylibyście, że palce u nóg ma spięte bardzo krótką błoną i z tego powodu nie umie pływać, ani poruszać się na lądzie!

— Widocznie braki te starała mu się natura wynagrodzić tem, że zaopatrzyła go w takie duże skrzydła!

— Rzeczywiście, jest to ptak, jak gdyby jedynie stworzony do przebywania w powietrzu. Lata on jak błyskawica, a właściwie nawet nie lata, tylko pozwala się unosić powietrzu. Na lądzie zatrzymuje się jedynie, gdy zniechęconie zupełnie.

— A to co za śliczny ptak? Grzbiet ma czarny, a reszta ciała, nie wyłączając głowy, jest olśniewająco biała!

— To mewa morska. Ma ona tu również swą liczną kolonię.

— Słyszałem w Gdańsku, że mawy zapowiadają marynarzom burzę. Czy to prawda?

— Niezupełna. Wprawny marynarz z lotu ich pozna zbliżającą się burzę. Białe ich skrzydła, jak żagle rozwinięte, ostrzegają, że trzeba zwiąć żagle na okręcie, ptaki te bowiem z nadejściem burzy rozwijają skrzydła i zabierają się do łowów. Sam widziałem je nieraz, jak zakreślając ogonem koła, znikają nagle pomiędzy dwoma bałwanami, a po chwili pojawiały się w powietrzu z rybą w dziobie!

— O, widzę już miejsce, gdzie ukryliśmy łódź!

— To dobrze! Zwiedziliśmy prawie całą osadę pletwonogich, trzeba pomyśleć teraz o pracy!

Zabrawszy co potrzebniejsze im się zdawało z uratowanego balonu, a resztę ukrywszy starannie z obawy, aby jaki żarłoczny ptak nie porozwłóczył tych skarbów, powrócili objuczeni do swej osady.

### Biegusy.

Przyrządy znalezione w łódce Wicia i Wacia przydały się rozbitkom niezmiernie. Użyteczność ich naj-

lepiej umiał ocenić Samotnik, zmuszony przez kilka lat obywać się bez najpotrzebniejszych narzędzi.

We trójkę też i weselej było przy pracy, a coraz to coś nowego tak zajmowało żadnych wrażeń chłopaków, że i przymuszony pobyt na wyspie nie zdawał się im przynajmniej na razie zbyt uciążliwym.

Porobiwszy najpotrzebniejsze sprzęty do wspólnego domku, poczęto także wyrabiać i rzeczy ozdobniejsze.

Wicio i Wacio dla rozrywki biegali w Gdańsku często do pracowni koszykarza i tam nauczyli się wyplatać koszyki. Ponieważ niedaleko domku Samotnika znajdowały się drzewka, doskonale nadające się do wyplatania, chłopcy przypomnieli sobie koszykarza i swą naukę i zabrali się do robót koszykarskich.

Przedewszystkiem postanowili zrobić Samotnikowi niespodziankę i zabrali się do wyplecenia mu wygodnego krzesła oraz kilku zgrabnych ręcznych koszyków.

Aby Samotnik nie zauważył, że po za jego plecami odbywają się jakieś spiski, nie odchodzili nigdy od niego obydwaj naraz, lecz to jeden, to drugi naprzemiany znikał w pobliskich krzakach i pracował wy-

trwale z godzinę, udając następnie, że bawił się gdzieś swobodnie za domem.

Wycieczki te nie zwracały uwagi Samotnika.

Pewnego razu Wicio oddalił się do tajemnej pracowni, jak chłopcy nazywali swój zakład koszykarski, a Wacio i Samotnik zajęci byli oczyszczaniem przed domem obszernego placu, postanowiono bowiem niedawno założyć w tem miejscu ogródek, przenosząc do niego z całej wyspy najładniejsze i najokazalsze rośliny.

Przy pracy tej chłopcy zmieniali się kolejno, stosownie do zarządzenia Samotnika, który obawiał się, by jeden z nich nie zmęczył się zanadto.

Właśnie Samotnik miał zawołać Wicka, by zastąpił w pracy zmęczonego już trochę Wacia, gdy na drodze, prowadzącej do domku, rozległy się radosne okrzyki Wicka.

Pracujący w ogrodzie podnieśli głowy i zobaczyli ptaka, na dwa metry może wysokiego, pędzącego jak strzała z siedzącym mu na grzbiecie Wiciem.

Zobaczywszy ten niezwykły obrazek, Wacio w pierwszej chwili przeraził się:

— Panie, panie. Wicka ptak jakiś unosi! Trzebaby mu pospieszyć na ratunek!

— Nie obawiaj się! Słyszysz przecie, że wykrzykuje radośnie. Ten duży, czarny jak węgiel ze śnieżno-białymi skrzydłami ptak — to struś, którego pióra nieraz pewnie widziałeś na kapeluszu u swej mamusi. Ten Wickowi krzywdy nie zrobi!

Dawno nie byłem przy biegusach, bo to kawał drogi, zateśknili pewnie poczciwcy za mną, a że dla nich przebiedz taki kawał drogi, to bagatela, wybrali się więc do mnie w odwiedzinę!

W tej chwili zatrzymał się przy Samotniku pędzący z podniesionymi skrzydełkami struś, a Wicio zeskoczył z niego zręcznie na ziemię.

— Oj, żebyście wy wiedzieli, co ja się strachu w pierwszej chwili najadłem! Siedzę sobie w krzakach i — . . . . Tu urwał, chciał bowiem powiedzieć: „wyplatom krzeselko“, ale Wacio w porę wzrokiem przypomniał mu o tajemnicy.

— I co? — dopomógł mu Samotnik, nie zwracając uwagi na jego chwilowe milczenie.

— I siedzę sobie, aż tu przybiega do mnie cała gromada różnych ptaków na długich nogach i dalejże

mnie oglądać. Mało, że dziobami do mnie nie szturmowali. Były pomiędzy nimi większe i mniejsze, a ten tu największy tak mi się nawinał, że nie wiele się namyślając, wskoczyłem na niego. Jak się mój rumak nie zerwie, jak nie zacznie pędzić, powiadam wam, formalnie dech mi w piersiach zamykało! W pierwszej chwili przeraziłem się, nie wiedziałem bowiem, gdzie mnie ten czarny rumak niesie, a bałem się zeskoczyć z niego w takim pędzie. Zobaczywszy, że pędzi prosto tutaj, uspokoiłem się i rozkoszowałem się wspaniałą jazdą. Siadaj, Wacio, i spróbuj i ty, co za wspaniały rumak!

— Nie radziłbym ci dosiadać w tej chwili tego wspaniałego rumaka, gotów bowiem z miejsca nawrócić i popędzić do osady biegusów, a stamtąd musiałby Wacio spory kawał maszerować z powrotem.

— Ale wie pan co, moglibyśmy sprowadzić tu po dwa lub trzy strusie i zająć się ujeżdżaniem ich... Ciekawym, czy struś by pana uniósł?

— Nie próbowałem siadać na niego, ale przypuszczam, żeby uniósł. Pewien podróżnik opowiadał mi raz na okręcie, że widział nad Senegalem, jak po dwóch dorosłych murzynów dosiadało oswojonego stru-

sia, a on biegł z nimi tak, iż zdawało się, że ledwie ziemi dotykał nogami!

— Bravo! Będę miał świeże zajęcie, od jutra zacznę chodzić do osady biegunów i będę ujeżdżał strusie. Zdziwicie się, gdy wam pewnego pięknego poranku przyprowadzę trzy doskonale ujeżdżone ruma-ki. Będziemy jak błyskawice przebiegali wyspę!

— A czy struś nie może latać po powietrzu?

— Nie, mój Waciu! Przypatrz się dobrze jego piórom i budowie, a poznasz zaraz sam, dlaczego ptak ten nie może latać!

— Już widzę. Pojedyncze promienie jego pierza nie łączą się z sobą, nie tworzą chorągiewki, lecz rozsypują się luźno.

— O, a popatrz na jego skrzydła! Odrazu widać, że takie skrzydła nie byłoby w stanie tak dużego ptaka utrzymać w powietrzu!

— Nie posiadają też prawie zupełnie lotek i sterówek, a te, które mają, są zupełnie miękkie i wątłe!

Nie skończyli jeszcze chłopcy oglądać strusia, gdy w alei ukazała się cała kolonia biegusów.

Przodem kroczył kazuar hełmiasty, tak nazwany, ponieważ na dzióbku jego, podobnym do koguciego, znaj-



duje się rogowata narośl, podobna do hełmu. Ptak ten ma stosunkowo krótkie, ale silne nogi o trzech palcach, z których środkowy opatrzony jest bardzo długim i prostym pazurem. Pióra rozpięchłe i poroszczepiane robiły wrażenie takie, jak gdyby ptak nie posiadał piór, lecz uwłosienie czarne na całym ciele, granatowe na podgardlu i po bokach szyi, a na wierzchu szyi czerwone.

Za kazuarem postępowała gromadka nietotów—zwanych także kiwi. Gromadka ta najbardziej zajęła Wicka i Wacka. I nic dziwnego. Ciało tych ptaków, nieco większe niż koguta, nie wyłączając krótkich, bo zaledwie sześć centymetrów mających, skrzydeł pokrywały jednakowe lancetowate, dość gęste pióra. Gromadce tej brakowało zupełnie ogonów, a wyprostowane postacie ptaków czyniły wrażenie jakichś figur poobwijanych w szaro brunatne płachty. Figur tych nie zdobiły wcale śmiesznie długie dzioby—otoczone przy nasadzie wieńcem, długich, twardych szpecinowych włosów.

— Ciekaw jestem, co też ptakom tym po takich długich nosach?—zapytał Wacio.

— Dziób ten stanowi u nietotów bardzo czuły organ dotyku. Wtykają go one w miękką ziemię i w ten sposób wynajdują w niej liszki owadów i robaki, słuzące im za pożywienie!

— No, ale nogi, to mają silne i zakończone trzema palcami, skierowanymi naprzód, a czwarty tylny mają skierowany do tyłu, i ten jest taki krótki, że właściwie wygląda, jakgdyby to był tylko sam pazur. O, popatrz, Waciu!—wołał Wicio, który podniósł nietotowi jedną nogę do góry i przypatrywał się jej z zajęciem.

— No, już to biegusy moje dobrze się za mną stęknęły, kiedy i nietoty przywędrowały tutaj, zwykle bowiem dopiero w nocy wychodzą na żer... Ciekawy też mają sposób wysiadywania jaj, siedzą bowiem nie jak wszystkie ptaki na jajach, lecz pod jajem!

Zagrzebują jaja w ziemi, potem wygrzebują pod nimi jamę tak, że odsłaniają trzecią część jaja i włożą w jamę tak, aby jaje zostawało w zetknięciu z ich ciałem!

— Wie pan, gdy patrzę, jak te ptaki garną się do pana, jak nie obawiają się ludzi, przychodzi mi na myśl, że toby chyba tak mogło być na całej ziemi ze

wszystkiemi zwierzętami, gdyby ludzie nie byli ich prześladowali i nie wyrządzali im na każdym kroku krzywdy!

— Zastanawiałem się i ja niejednokrotnie nad tem i doszedłem do tego samego przekonania.

Podczas tej rozmowy biegusy spacerowały koło rozmawiających, ocierając się prawie o nich, a po chwili uspokojone widocznie widokiem Samotnika, tą samą drogą, którą przyszły, zabrały się do odwrotu.

### Wyprawa do kurnika.

Ofiarowanymi sobie przedmiotami, wykonanymi przez chłopców w tajemnicy, ucieszył się Samotnik bardzo; były one dla niego prawdziwą niespodzianką.

Szczególniej podobały mu się bardzo zgrabne koszyczki na jaja.

— W samą porę mi je przynieśliście, właśnie bowiem myślałem o tem, że trzeba nam się będzie wybrać kiedy do kurnika!

— A to chodźmy jutro!

— Dobrze, moi drodzy! A jakże tam, panie Wiciu, postępuje ujeżdżanie rumaków?

— Świat nimi zadziwię, zobaczycie!

Obiecanego jutra a z niem projektowanej wyprawy, nie mogli się chłopcy doczekać.

Lubili oni bardzo te wycieczki z Samotnikiem po wyspie, za każdym bowiem razem Samotnik, który znał doskonale zwyczaje wszystkich ptaków i całą wyspę, jak swą własną kieszeń, musiał im coś ciekawego, zajmującego pokazać.

Tym razem nie potrzeba ich też było budzić!

Skoro świt, zerwali się z łóżek, wykapali, szybko ubrali i pochłonawszy jednym tchem prawie śniadanie, pochwycili za koszyczki, gotowi do drogi.

Widząc ich niecierpliwość, poczciwy Samotnik nie dał im długo czekać na siebie, a obawiając się rozczarowania z ich strony, rzekł im na wychodnem:

— Nie obiecujcie sobie tylko, że ujrzycie tam jakieś niebывałe rzeczy. Prawie wszystkie te ptaki, które tam zobaczycie, znane są dobrze.

— Znamy je, to prawda, ale nigdy nie mieliśmy sposobności przypatrzeć się im dziko żyjącym!

Kurnik, do którego prowadził Samotnik chłopców, nie był zupełnie podobny do tych kurników jakie zwykle widzujemy. Była to część wyspy z boków obrośnięta krzewami, podczas gdy środek zajmowały dosyć daleko od siebie rosnące drzewa.

Gdy doszli do krzaków, opasujących owo miejsce, jak żywopłot ogród, Samotnik skreślił w bok i pokazał Wiciowi i Wackowi kupiec stożkowaty, na jeden metr wysoki, ułożony z suchych liści i innych roślinnych odpadków. Na wierzchu znajdowały się jaja.

— Patrzcie, co za dziwna kura! Naznosiła jaj i więcej o nie troszczyć się nie będzie.

— To kury te wyginać muszą po pewnym czasie wobec takiego postępowania, skądże bowiem wezmą się młode, gdy stare nie chcą jaj wysiadywać?

— Nie obawiaj się, Waciu, nie wyginą te kurki, chociaż są takie leniwe! Zastępuje je znakomicie przyroda. Słyszałem ja w mych podróżach coś o sztucznych wylęganiach kur. Otóż macie tutaj przed sobą rodzaj takiej sztucznej wylęgarki. Nagromadzone liście i odpadki roślinne gniją, a ciepło, które się przytem wywiązuje, wystarcza do wygrzania jaj, potrzebnego, aby się pisklęta mogły wykluć.

— A to co znowu za kopiec jakiś podejrzany?

— To kogut talegalla, przez kilka pierwszych nocy po wykluciu kurcząt, zakopuje je starannie w takim kupcu, z obawy, żeby im się co złego nie stało. No, teraz możecie sobie zwiedzać kurnik, a ja tymczasem na pełnię koszyczki nasze jajami!

Wicek i Wacek weszli na polankę, gdzie przedewszystkiem zwrócił ich uwagę paw, siedzący na gałęzi, z szeroko rozłożonym ogonem.

Znać było, że piękny ten ptak pyszni się swem barwnem upierzeniem.

To starał się podziwiającym go chłopcom pokazać ślicznie mieniące się niebiesko-fioletowo i zielone z metalicznym odblaskiem pióra na szyi, to potrząsał zgrabną, prosto stojącą kitką na głowie, złożoną z delikatnych piórek, to składał i znów rozwijał wspaniałe ogon, usiany barwnymi oczkami. Wiedząc o swej urodzie, chciał wreszcie do reszty widocznie olśnić podziwiających go Wicka i Wacka, wysunął przed siebie jedną nogę i otworzył dziób. Efekt był niespodziewany. Z dzioba wydobył się dźwięk tak nieprzyjemny dla ucha, że Wicek i Wacek pierzchnęli w jednej chwili i zbliżyli się ku pawicy.

Pawica nie posiada tak wspaniałej szaty jak paw. Nosi ona skromną, szarą, brunatną sukienkę, której jedyną ozdobą jest zielono mieniąca się szyja i kitka na głowie.

Tuż obok pawów znajdowała się gromada indyków. Jedne z nich miały każde piórko na grzbiecie otoczone czarną obwódką, dolną część grzbietu i pokrywy ogonowe ciemno-brunatne z zielonemi i czarnemi pręgami. Piersi tych ptaków były u góry jaśniejsze, u dołu ciemne, takiego też koloru i lotki pomieszane naprzemian z szaremi.

Wicek nie mógł się powstrzymać, by im nie wyrządzić psikusa i zagwizdał.

W jednej chwili cała gromada, jak na komendę, rozłożyła wachlarzowate, czarno-pręgowane ogony, ptaki ponadymały się i poczęły wydawać swój dziwny, bełkoczący głos.

Prócz wyżej opisanych indyków, znajdowały się w gromadzie całej indyki brązowe, siwo-pstre, a nawet zupełnie białe.

Większa część tych ptaków znajdowała się na drzewach. Szczególną uwagę zwrócił na siebie mniejszy od tamtych, ale znacznie piękniejszy, tak zwany in-

dyk pawiaasty, z swem czarno-zielonem, ze świetnym metalowym połyskiem upierzeniem i pomarańczową skórząstą naroślą nad dzióbem.

Napatrzywszy się indykom, zbliżyli się chłopcy do perlic, zwanych także afrykankami lub pantarkami. Ptaki te z kształtu podobne były do kuropatw. Grube ich ciało zakończone było bardzo krótkim ogonem, tak, że go wcale widać nie było. Upierzenie perlic jest ciemno-szare, usprstrzone białymi, nakształt pereł centkami, a tylko dolna część szyi, oddzielona od wierzchniej wązkim kołnierzem z czarnych, miękkich piórek, posiada odcień brunatnawy.

Głowa perlic jest zupełnie naga z różkiem mięsistym, skierowanym ku tyłowi, a od górnej części dzioba zwisały im dwa chrzęstowate, błękitnawe płatki, nadające ptakom ciekawy i charakterystyczny wygląd.

Tymczasem nadszedł Samotnik z koszyczkami napelnionymi jajami.

— No, i cóż widzieliście, moi chłopcy?

— Dotychczas pawie, indyki i perlice!

— To chodźmy teraz do kur. Oto tutaj macie bankiwę, od której, jeżeli nie wszystkie gatunki, to



przynajmniej jeden z nich, naszej kury domowej, pochodzi!

Kury umieściły się w zacisznych gąszczach z trzciny bambusowej i roślin pnących, ponieważ tam nie tylko znajdowały schronienie, ale także i pokarm w postaci owadów, robaków jagód i ziół wszelkiego rodzaju.

Ponieważ kogut bankiwy jest pięknym, żwawym ptakiem, na nim też przedewszystkiem zatrzymało się oko zwiedzających kurnik.

Kogut miał grzbiet z przodu czarno-zielony, z tyłu pomarańczowo-żółty, na łopatkach purpurowo-brunatne pióra, skrzydła ciemno-brunatne i rdzawo-żółte, spód cały czarny z metalicznym połyskiem. W jego czarno-zielonym ogonie widać było dwa zuhowato wygięte pióra. Głowę i szyję zdobiły mu pióra pomarańczowego koloru, wycinany zaś w zęby grzebień, zwijające się płatki i nagie kółka koło oczu były żywej, czerwonej barwy.

Kury posiadały upierzenie jaśniejsze, brak im było grzebienia i płatków, oraz długich piór w ogonie.

— Ciekawy jestem bardzo, kto też pierwszy przyswoił kure?

— O, trudno o tem coś powiedzieć pewnego, ale o ile wiem, dawno już, bardzo dawno przyswojono kury. Podobno dawni Egipcyanie chowali już kury, a co lepsza, umieli nawet wyrabiać i używać sztucznych wylęgarek dla kur. Słyszałem też, że Grecy i Rzymianie bardzo wydoskonalili chów drobiu. No, ale przejdźmy teraz do bażantarni. Ot, macie tutaj wspaniały okaz. Jest to bażant argus!

Bażant argus jest tak prawie wielki jak paw. Lotki jego skrzydeł, poczynając od pierwszej aż do ostatniej, coraz są dłuższe, w ogonie zaś dwa środkowe pióra są dwa razy dłuższe, niż inne. Ogólne tło jego upierzenia jest jasno-brunatne, gęsto usiane ciemnymi centkami, spód ciała kasztanowaty, nieregularnie poprzecinany brunatnymi i czarnymi pręgami. Przednie loki są czerwono-brunatne z drobno kropkowaną białą pręgą, tylne ozdobione są sześciem przeslicznych oczek. Długie ogonowe pióra są zewnątrz czerwono-brunatne, wewnątrz szare, z okrągłemi, białemi, czarno obrzeżonemi plamami. Nad nagimi, niebieskawoszarymi policzkami wznosi się czarny wierzch głowy. Dziób jest biały, nogi karminowo-czerwone.

— Napatrzcie się dobrze temu ptakowi, kto wie bowiem, czy go kiedy więcej w życiu zobaczycie. Mieszka on wyłącznie w cieniach dziewiczego lasu i czasem tylko wychodzi na miejsca otwarte, by poigrać z innymi ptakami. Ptaki te są niesłychanie płochliwe i nie można nawet marzyć o podejściu argusa na odległość strzału; złapać go można tylko w sztucznie i umiejętnie zastawione sidła.

Prócz argusów zobaczyli jeszcze bażanty złociste. Długie, jedwabiste, lśniaco-żółte pióra na czole spadały mu do tyłu, a pióra na tyle głowy świetnej, pomarańczowej barwy, poprzecinane czarnymi pręgami, wyglądały jak kołnierz.

Szyja tych ptaków jest złocisto-zielona, pióra na grzbiecie żółte, takie także i pokrywy ogona z karmazynowymi brzegami. Skrzydła, na brunatnem tle, są czerwono nakrapiane, ogon żółto-czarny, a spód ciała jasno-szkarłatny; nogi żółtawe. Ptak ma około 80 cm. długości, sam ogon 40 cm.

— Tam macie kuropatwy i przepiórki! Widzicie je?!

Obydwaj chłopcy równocześnie zawołali:

— Nie!

— Wpatrzcie się dobrze!

— Teraz widzimy. Jakież one ubarwienie podobne mają do swego otoczenia!

— Umyślnie to już Pan Bóg dał niektórym zwierzętom i ptakom takie ubarwienie, by nie łatwo je było zobaczyć. Ubarwienie takie nazywa się też ubarwieniem ochronnem!

Radosne „pójdźcie żać, pójdźcie siać“ przypomniało trzem rozbitkom ojczyznę. Zobaczyli złote łany zboża, poprzątkane tu i ówdzie modrymi bławatami lub czerwonymi znakami.

Zadumę przerwało rechotanie, a raczej klaskanie podobne do odgłosu, jaki wydają uderzane o siebie dwa suche kije; klaskanie to stawało się coraz więcej przyspieszonym, wreszcie zakończyło się tonem, jaki językiem wydaje jeździec, chcąc pobudzić konia do szybszego biegu. Bezpośrednio potem nastąpił syczący głos, jakgdyby kto ostrzył nóż na oselce.

— A to co za dziwne odgłosy?

— To pan głuszek tak śpiewa. Popatrzcie dobrze na to tam środkowe drzewo, a zobaczycie go!

Chłopcy wyteżyli wzrok we wskazanym kierunku i ujrzeli rzeczywiście ciekawe widowisko.

Na drzewie siedział ptak, z wierzchu czarny; pierś miał czarne z białymi końcami piór, głowa i szyja ciemno-granatowe, podgardle czarne ze stalowym, metalicznym odblaskiem. Zwinięte skrzydła były brunatno-kasztanowate, ozdobione delikatnymi zygzakowatymi prążkami. Ogon, który ptak może dowolnie roztaczać, składa się z ośmnastu piór, z których dwa środkowe są zupełnie czarne, pozostałe zaś lekko białem nakrapiane. Zpod dzioba zwisały mu dwa sztywne, czarne piórka, tworzące jak gdyby brodę. Oczy ptaka otoczone były brodawkową, jasno-czerwoną pręgą, silny białawo-żółtawy dziób haczykowało zagięty, jak u ptaków drapieżnych.

Ptak stał na nogach aż po palce upierzonych włoskowatymi piórami; palce tylko posiadał nagie, opatrzone z boków rogowatymi brzegami.

W odległości kilkudziesięciu kroków od drzewa stały inne głuszce, pokryte piórami rdzawej barwy z białymi i czarno-brunatnymi z wierzchu, gęściej rozrzuconymi centkami. Przysłuchiwały się głosowi głuszca, pomrukując od czasu do czasu „bak-bak“!

Głuszec siedział na grubej gałęzi, najeżał brodę, wydymał piersi, opuszczał skrzydła, roztaczał ogon, dreptał nogami, to znowu biegł po gałęzi, wydając swoje dziwne, płaskające i syczące dźwięki.

Awanturom, wyprawianym przez głuszcza, przypatrywał się z poblizkiego drzewa cietrzew ze swą żoną. Był on o trzecią część mniejszy od głuszcza.

Prócz głuszcza i cietrzewia, jak gdyby do tej samej rodziny, należy jeszcze jarząbek i pardwa, ale nie będziemy ich już szukać, bo dosyć późno, a kiedy już jesteśmy w tych stronach, chciałbym wam jeszcze pokazać gołębnik!

— Brawo, chodźmy do gołębnika, a po drodze opowie nam pan, jak to wygląda jarząbek i pardwa.

— Jarząbek podobny jest do głuszcza i cietrzewia. Przebywa zwykle w gęstych lasach; skrzydła jego w locie wydają głośny szelest. Jarzębica w maju składa w dobrze ukrytym pod krzakami gnieździe siedm do dwunastu brunatno-czerwonych, ciemno-nakrapianych jaj; z jaj tych po trzech tygodniach wylęgają się pi-skłeta, umiejące się tak dobrze ukrywać, że je prawie trudno znaleźć! Pardwa różni się tem od jarząbka, że ma i palce upierzone. Wzrostem dochodzi kuropatwy;

w lecie ma suknię pstro szarą, w zimie zupełnie białą, tylko na lotkach pozostaje kilka pręg ciemniejszych, a sterówki ogona są czarne z białymi brzegami.

### **W gołębniku.**

Daleko jeszcze chłopcy byli od gołębnika, gdy posłyszeli właściwe gołębiom gruchanie.

Gdy doszli do miejscowości, zajętej przez te powszechnie znane ptaki, aż się zdziwili takie było ich mnóstwo.

Jedne z tych ptaków, żywiące się jagodami i owocami, uganiały po drzewach inne, szukając ziarna, trzymały się bliżej ziemi.

Przedewszystkiem uwagę z pomiędzy wszystkich gołębi zwrócił na siebie gołąb grzywacz. Jest on największy z pomiędzy wszystkich dzikich gołębi. Wierzcho jego ciała jest szary, na grzbiecie i na skrzydłach brunatny, pokrywy skrzydeł zaś są ozdobione podłużną, białą pręgą. Spód ciała jasno-szary, ogon ciemniejszy, czarny na końcu. Szyja i głowa są fioletowo-szare, z metalicznym połyskiem, dziób żółty.

Grzywacze siedziały na wierzchołkach drzew, ozłoconych promieniami słońca, i porządkowały i gładziły piórka swoje.

Z dziupli drzew wyglądały gołębie siniaki, posiadające tam swoje gniazda.

Ujrawszy siniaki, Samotnik rzekł:

— To małe pluchy! Zanieczyszczają tak swegniazda, że co pewien czas muszą się przenosić do innych. Widzicie tam tego gołębia, posiadającego fioletową obrączkę na szyi i po dwie czarne pręgi na skrzydłach? To gołąb skalisty. Powiadają, że od niego pochodzą wszystkie nasze gołębie.

Wacek, którego bardzo interesowały gniazdka ptasie, plondrował po krzakach, chcąc zobaczyć, jak się to gnieźdzą gołębie, i aż się zdziwił, ujrawszy gniazdo niedbale sklecone, przeświecające i tak osadzone na gałązce, że zdawało się, że lada chwila spadnie.

— W tem gnieździe chyba nikt nie mieszka?

— Gdzież tam, zajęte ono jak i inne, przytem wcale porządnie uklecone. Rozejrzyj się dobrze, a zobaczysz jeszcze gorsze!

— Ależ z tego gniazda przecież jajka mogą wypaść takie jest dziurawe!



— Trafia się to i to nawet dosyć często! Wiesz tam, pod drzewem, skorupki z jaj, a ot, tam całe gniazdo leży strącone przez wiatr na ziemię!

— A to niedbaluchy dopiero, żeby też tak nie dbać o swe domki! Czyści się to, piórka układa, mizdrzy, a domu się temu wybudować nie chce porządniego. To brzydaki! — prawil oburzony Wacio, wygrazając palcem gołębiom, ale te nic sobie z jego przemowy nie robiły.

— Ciekawy jestem—zwrócił się Wicio do Samotnika—ile też jest gatunków gołębi?

— Pytanie nie lada i zdaje się, że nie prędko kto mógłby ci na nie odpowiedzieć. Odmiany gołębi są tak liczne, że najzapaleńszy miłośnik nie zna ich pewnie wszystkich. Przez umiejętny dobór i staranną hodowlę wytwarzają jeszcze ciągle nowe odmiany. O ile mi się zdaje, najwięcej znanymi są werfle, pawiki, kapucynki, garlacze i inne...

— Gołębie muszą chyba ludzie, podobnie jak i kury, oddawna hodować!

— Z pewnością. Musiałeś przecież czytać w biblii, że Noe wypuszczał z arki gołębie, aby się dowiedzieć, czy wody obeschły. Znajduje się też w piśmie

świętem i więcej dowodów na to, że u najstarożytniejszych narodów gołobie hodowano, jako ptaki domowe.

Turkawki przelatywały szybko z miejsca na miejsce, że trudno było im się w pierwszej chwili przypatrzyć. Po chwili jednak powisały paskami na gałązkach, tuląc się wdzięcznie do siebie. Jest to jeden z najpiękniejszych gołąbków. Głowę i kark ma nieco niebieskie, boki głowy czerwonawe, na szyi obrączkę z czarnych piórek z białymi grzbietami.

Grzbiety tych ptaków są popielate, czarno upstrzone, ku tyłowi niebiesko-szare; szyja i piersi purpurowo-czerwonawe z fioletowym odblaskiem, pokrywy czarne z czerwonawymi brzegami. Błękitnawe lotki są biało obrzeżone, spód ciała biały, dziób czarny, nogi krwisto-czerwone.

— Przypatrzcie się teraz dobrze temu gołębiowi, z wierzchu niebieskawo-szarem, pod spodem czarniawemu, który szyję ma fioletowo-purpurową, podbrzusze białe, czarniawe loki i zewnętrzne sterówki białe obrzeżone, dziób czarny, nogi krwisto-czerwone, a w drodze opowiem wam coś ciekawego o nim!

— A jak on się nazywa?

— Gołąb wędrowny! Jest to ptak niezmiernie towarzyski. Gołębie wędrowne gnieźdzą się razem w wielkiej ilości. Gdy odchowają już małe, wybierają się na wędrowkę. Nie zatrzymują się one nigdzie długo, a jeżeli się zatrzymują, to jedynie tam, gdzie znajdują dostatek pożywienia. Widziałem ja raz taką wędrowkę gołębi.

— Jakto dobrze, opowie nam pan, bo takie rzeczy pewnie nie często zobaczyć można!

— Ja widziałem raz w życiu, ale są miejscowości, przez które gołębie przelatuja i gdzie częściej można te wędrowki zobaczyć. Ludzie mają z tego nawet poważny dochód, urządzają bowiem w tym czasie polowania na te ptaki. Ale zaraz opowiem wam już wszystko po kolei, kiedy jesteście tacy ciekawi. Otóż najpierw ciągną małe stada, jak gdyby kwatery. Obowiązkiem tych kwatery jest wyszukanie odpowiednich do gnieźdzenia się miejsc w lasach dębowych lub bukowych, gdzie znaleźć mogą pożywienie dostateczne.

— Jakto, więc ptaki te żywią się żołędziami i bukwia?

— Tak. Za przednią strażą sięgnie szybkim lotem główna siła. Ile jest tych ptaków, trudno powiedzieć. Powietrze w ścisłym znaczeniu tego słowa było przepelnione gołębiami, a słońce przysłoniły tak, że się zdawało, że jest zaćmienie. Pewien uczony, który równie ze mną przypatrywał się tej wędrowce, starał się gołębie policzyć i znać sobie przelatujące stada ptaków kreskami, wkrótce jednak zaprzestał tej roboty, tak wielka ich była ilość. W przeciągu 20 minut przeleciało 163 stada wędrowców. Uczony ten obliczył w przybliżeniu ilość gołębi w ten sposób. Przypuściwszy, że ciąg ich zajmuje milę szerokości, co wcale nie jest przesadzonem i że przy danej szybkości lotu trwa bez przerwy przez trzy godziny, otrzymał równoległobok, obejmujący 180 mil kwadratowych. Licząc tylko po dwa gołębie na jeden łokieć kwadratowy, otrzymał jeden miliard sto piętnaście milionów sto trzydzieści sześć tysięcy gołębi wędrownych!

— Gwałtu, toż to taka liczba w głowie pomieścić się nie może!

— A gdzież taka ilość się mieści?

— Zajmują lasy, ciągnące się na kilka mil. Cały las rozbrzmiewa wtedy głosami i trzepotaniem skrzy-

deł ptaków, trzaskiem łamiących się gałęzi, nie mogących udźwignąć ich ciężaru, szelestem spadających bez przerwy liści. Na jednym drzewie budują 50—100 gniazd niewymyślnych. Gdy gołębia siedzi na jajach, gołąb ją karmi i okazuje troskliwość i przywiązanie prawdziwie wzruszające.

— Wspominał pan, że ludność poluje bardzo na te ptaki, kiedyż i w jaki sposób odbywają się te polowania?

— Tak! Podczas przelotu wędrownych gołębi cała ludność jest pod bronią. Skoro się tylko ptaki udadzą na spoczynek, stracają je tysiącami na ziemię. Z uczonym, o którym wam wspomniałem, i z kilku panami udaliśmy się w Kentucky na takie miejsce noclegu gołębi. Gołębie zajęły las wysokopienny, długi na czterdzieści, a szeroki na przeszło trzy mile angielskie. Gdyśmy przybyli, gołębie rezydowały tam już od dwóch tygodni, mało też już było widać gołębi, ale za to tłum ludzi z końmi, z wozami, z bronią, amunicją. Tłum ten otoczył las dokoła; dwóch rolników spędziło do trzechset sztuk nierogacizny dla tuczenia jej gołębiem mięsem. Wszędzie było widać ludzi, zajętych soleniem gołębiego mięsa, a całe kupy ptaków zabitych leżały

dookoła. Drzewa na dwie stopy średnicy były polamane, a najgrubsze i najsilniejsze gałęzie postręcane, jak gdyby gwałtowny orkan szalał nad lasem.

— Co za szkoda, że pan nie widział samego polowania!

— Nie widziałem, ale opowiadano mi, w jaki to sposób te łowy się odbywają. Ludność, spodziewając się przylotu ptaków, oddawna już była gotową do przyjęcia tych gości i oczekiwała wędrowców z garnkami napełnionymi siarką, ze smolnymi pochodniami, drągami i bronią palną. Słońce zaszło, wszyscy jednak czekali z wzrokiem utkwionym w jasne niebiosy. Nagle rozległ się krzyk: „Lecą!“ Rzeczywiście nadlatywały, ale z hukiem, przypominającym ryk wichru na morzu. W miarę ich zbliżania się, dawał się uczuwać, jak gdyby lekki powiew wiatru. Tysiące gołębi strącono w jednej chwili na ziemię, ale tysiące innych nadlatywało bez przerwy, obsiadając drzewa, łamiące się pod ich ciężarem. Obłamane drzewa z trzaskiem waliły się na ziemię, przygniatając ptaki, siedzące pod drzewami. Taki przytem panował podobno hałas, że nawet krzyżąc, nie można się było porozumieć z najbliższymi stojącymi.

cymi. Ba! — wystrzały rozpoznać można było tylko po błysku!

— Cóż oni robią z tymi pomordowanymi tak nielitościwie gołębiami?

— Pakują do beczek, przesypując lodem i tak wysyłają do większych miast. Nawet w przybliżeniu nie można oznaczyć ilości ptaków wysłanych w ten sposób, ani pieniędzy otrzymanych za nie. Jak słyszałem, jedyna tylko firma w Peloskey w r. 1879 wysłała w tyśiącu beczek czterdzieści tysięcy tuzinów dzikich gołębi!

— Ale że też ludzie się nie zastanowią, iż mordując takie liczne gromady gołębi, wytępią je wreszcie wszystkie!

— Pomyślano i o tem, mój drogi Wiciu, i podobno w niektórych okolicach Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej nie wolno już urządzać takich beładnych rzezi!

### Powrót śpiewaków.

Minęło już parę miesięcy od czasu, gdy fala wyrzuciła Wieka i Wacka na bezludną wyspę.

Na zwiedzaniu osobliwości wyspy, podziwianiu różnych ptaków czas schodził im szybko. Pocziwy Samotnik, o ile możności starał się rozerwać ich i rozpedzić tęsknotę za ojczyzną, od początku jednak nie tail przed nimi tego, że nie tak to łatwo będą się mogli z tej bezludnej wyspy wydostać i że kto wie, czy nie będą zmuszeni przepędzić tu nawet całego życia.

Postępowanie takie było zupełnie słuszne. Chłopcy powoli przyzwyczaili się do swego losu i zdawało się nawet Samotnikowi, że już zupełnie pogodzili się z koniecznością, gdy nowy wypadek otwarł niezabliźnione jeszcze w ich sercach rany i na nowo spotęgował tęsknotę za ojczyzną i najbliższymi.

W pewien wieczór siedzieli we trójkę na werendzie przed domkiem, z rozkoszą wciągając w siebie balsamiczną woń powietrza i ciesząc się miłym chłodem, który nastąpił po dosyć gorącym dniu.



W osadzie śpiewaków, w której znajdował się domek Samotnika, było cicho.

Nagle ciszę zamącił daleki jakiś szum, pokrzyki, poświsty.

Na dźwięk ten Samotnik zerwał się:

— Jeżeli mnie słuch nie zawodzi, wracają śpiewacy—wracają z ojczyzny naszej!

I człowiek ten, zwykle zimny, spokojny, zmienił się w jednej chwili do niepoznania.

Oczy jego zabłyszczały fosforycznym blaskiem, piersi falowały szybko, a ręce, konwulsyjnie wyciągnięte przed siebie, zdawały się chcieć widmo jakieś dalekie przyciągnąć i objąć w ramiona. Po chwili ręce opadły mu bezsilnie.

— Z ojczyzny, z ojczyzny wracają biedaki! Zielone łąki i niwy pokryły tam już śniegi, z drzew opadły liście, lodem ścięły się rzeki. Tu pięknie, zielono, roszkosznie, ale tam, w ojczyźnie, nawet wśród zimy lepiej i milej!

I lzy duże jak groch potoczyły się po pooranej brózdami twarzy Samotnika.

I oczy chłopaków zwilgotniały w jednej chwili. Wspomnienie rodziców, ojczyzny, ukochanego Gdańska

stańło przed ich oczyma jak żywe. Tęsknica taka straszna, nieopisana przygniotła ich serduszka, że wprost uczuwali ból fizyczny.

A coraz nowe gromady ptaków nadlatywały z szumem, pokrzykami napełniając powietrze i opadały zmęczone na pobliskie krzaki.

A znali chłopcy dobrze niektóre z tych ptasząt, napatrzyli im się dosyć i nazadrościli im skrzydeł i zwinnego szybowania po powietrzu.

Oto tam opadła na drzewo gromada jaskółek czarno-błękitnych z żywym połyskiem, tam obsiadły drzewa czarne, pięknym fioletowym i złocisto-zielonym kolorem połyskujące szpaki, tam czyżyki, szczygły, gile, krzyżodzioby, pliszki, skowronki—pierwsze zwiastuny wiosny i wiele, wiele innych.

Osada śpiewaków napełniła się rozgwarem, dawno tu niesłyszonym.

Przybysze zda się opowiadały nowiny z podróży, a krzewy, krzaki i drzewa i złocisty, ogromny księżyc wsłuchiwały się w te wieści z powagą i ciekawością.

Nagle z pomiędzy rozgwaru odezwały się tony, z początku słabe, później coraz silniejsze, i popłynęła

w niebo wspaniała pieśń, jak gdyby dziękczynna modlitwa za szczęśliwą podróż.

I umilkły ptaki wszystkie i wietrzyk nawet nie chciał przeszkadzać największemu artyście—słowikowi.

A szare ptaszę, jak gdyby wstydziło się swego głosu, ukryło się w najgęstszym krzewie i rozdawszy małe gardziolko, zawodziło z uczuciem swą pieśń piękną, rzewną, a kojącą.

I z pieśnią tą spływać się zdawało nowe ukojenie na rozbitków. Zdawało im się, że czują gdzieś obok siebie technienie Boże, zdawało się im, że dobrotliwy ten Stwórca szepcze im: „Bądźcie cierpliwi, bądźcie dobrej myśli, nie traćcie nadziei, jam źródło radości i wesela i wam z tego źródła czerpać pozwolę.

I osunęły się na kolana trzy cienie i z trzech piersi wraz z pieśnią słowika popłynęła w niebo gorąca prośba o powrót do ojczyzny i siłę, potrzebną jeszcze do znoszenia wygnania.

### Nowe rozrywki.

Wraz z przybyciem nowej gromady ptaków, nowe życie zakwitło na wyspie.

Osada śpiewaków, milcząca dotąd i cicha, zda się ożyła, jak za dotknięciem różdżki czarodzieja.

Wicek i Wacek, ba! nawet Samotnik wśród tego gwaru odżyli na nowo i przesuwali się od krzaka do krzaka, to przysłuchując się miłym świągotom ptasząt, to przypatrując im się z podziwem i czcią dla Stwórcy tych wszystkich dzieł.

A Samotnik wprost był niewyczerpany i niezmeńczony w udzielaniu chłopcom najrozmaitszych objaśnień.

To bieganie jednak od krzaka do krzaka, ten natłok wrażeń zmęczył chłopców. Pewnego wieczora rzekł Wacio:

— Wie pan, że w głowie mam taki szum jak we młynie i tak jestem zmęczony, że rady sobie dać nie mogę!

— O, i ja także!—zawołał Wicio.

— Czekalem tylko, kiedy mi to oznajmicie! I ja, przybywszy tutaj pierwszy raz, gdy zacząłem przebiegać wyspę, to w tym, to w tym kierunku, chcąc wszystko naraz poznać, doświadczyłem tego samego. Po kilku dniach głowę miałem jak stodołę, a w rezultacie jeszcze, ku ogromnemu memu zmartwieniu, przekonałem się, że nic nie poznałem.

— Jakże pan sobie poradził?

— Uporządkowałem sobie moje wycieczki. Przystałem biegać to tu, to tam, nie starałem się poznać naraz wszystkiego, powiedziałem sobie: „Mam czas, powoli więcej się nauczę i więcej sobie zapamiętam!“ I tak też robiłem!

— A czemuż nam pan odrazu tego nie powiedział?

— Nie powiedziałem, ale tak robiliśmy przecież z początku. Chyba z wycieczki do kurnika i gołębnika odnieśliście korzyść i nie czuliście zmęczenia!

— To prawda! Od jutra przestajemy się wałęsać po krzakach, a kierownictwo naszych wycieczek pozostawiamy w rękach pana!

— Zgoda, moi przyjaciele!

Rozmowie trzech rozbitków przysłuchiwało się kilka małych 25 centymetrów długich, z wierzchu brunatnych, upstrzonych ciemniejszymi centkami i prążkami, pod spodem jaśniejszych z poprzecznymi falistemi pręgami ptaków. Wielkie ich lotki i zewnętrzne sterówki miały na wewnętrznej chorągiewce białe plamki. Małe, ale głęboko rozcięte dzióbki, obrosłe ciemnymi szczecinowatymi włosami, ptaki porozchylały ciekawie.

Ponieważ ptaszęta ulokowały się tuż koło Wicia, chłopak zręcznie pochwycił do ręki jednego z nich:

— A to co za nocne lamparty?

— To lelek: zwany kozodojem, a niektórzy ludzie nazywają go także nocnicą!

— A czemuż ta bieda nie śpi jeszcze, tylko podsłuchuje, o czym my tu rozmawiamy?

— Wypał się smacznie w dzień. Jest to ptak nocny. Wyruszył sobie teraz na lowy, a skoro się rozwidni, ulokuje się znowu gdzieś na gałęzi i urządzi sobie wspaniałą drzemkę. Ciekawy to ptaszek. Nie buduje sobie gniazdek, lecz składa jaja wprost na ziemi, albo na pniu drzewa, zawsze jednak w ciemni lub we wrzosie!

— Ale, ale... Wśród natłoku wrażeń zapomniałem się pana zapytać o jednego ptaszka, którego wczoraj widziałem. Był to ptak nieco większy od naszej kawki. Ciało, skrzydła i ogon miał koloru brunatnego, mieniaącego się purpurowo na piersiach i przechodzącego w ciemno-fioletowy; wierzchołek jego głowy i kark był porośły bardzo gęstymi i krótkimi piórkami delikatnej żywej barwy, co robiło wrażenie pięknego aksamitu. Na podgardlu znajdowały się piórka łuskowate, szmaragdowo-zielone z pięknym, metalicznym połyskiem, aksamitne zaś piórka ciemniejszego jeszcze, zielonego koloru okrywały mu czoło aż do błyszczącego, żółtego oka. Dziób miał ten ptak silny, popielatoniebieskawy, a nogi czerwono-szare. Środkowe pióra ogona miały chorągiewkę tylko przy nasadzie i na końcu i sterczały na kształt drutów zgrabnie wygiętych. Z obu stron ciała, z pod lotek, wyrastał gęsty pęczek długich, 60-centymetrów, delikatnych piór najwyższej złocisto-zielonej barwy, o bardzo silnym blasku. Pióra te przybierały na końcu kolor blado-brunatny. Wspaniały ten pióropusz ptak dowoli składał i rozwijał tak, że czasem zdawało mi się, jak żeby był spowity w te pióra!

— Widocznie, że dobrze się przypatrywałeś temu ptaszkowi, gdyż doskonale go opisałeś. Jest to tak zwany rajski ptak. Jeżeli wam się jeszcze spać nie chce, a macie ochotę posłuchać, opowiem wam, co wiem o tym ptaku!

— Ktoby chodził spać w taki cudowny wieczór!

— Opowiadaj pan nawet do rana, a chętnie będziemy słuchali.

— Otóż ptaka rajskiego przez długi czas nie można było widzieć i opowiadano o nim najrozmaitsze dziwy. Pewien uczony holenderski, Jan von Linschotten opowiadał, jeżeli się nie mylę, w roku 1592, że ptaki te mieszkają w powietrzu, zwracają się ku słońcu, a tylko przed śmiercią opuszczają się na ziemię. Dalej opowiadał, że ptaki te nie posiadają ani nóg, ani skrzydeł, jak to widać na okazach, przywożonych do Indyi, a niekiedy i do Holandyi!

— Jak też ludzie mogli dać wiarę takim baśniom?... A jakżeby ten ptak bez nóg i skrzydeł mógł się utrzymywać w powietrzu?

— Ciekawym, co dało powód do takiej baśni?

— Przedewszystkiem muszę Waciowi odpowiedzieć. Otóż widzisz, mój drogi, ludzie wiedzieli dobrze,



że bez nóg i skrzydeł trudno ptakowi utrzymać się w powietrzu, dlatego też ptaka tego nazywali „boskim ptakiem“ albo „ptakiem słonecznym“ i uważali go za ptaka cudownego. Dawniej ludzie chętnie wierzyli w różne cudowności i czego tylko nie mogli sobie wytłómaczyć rozumem, przypisywali to cudom. A teraz tobie, Wiciu, opowiem, skąd się wzięła ta bajka. Oto jak się później przekonano, krajowcy po zabiciu ptaka, odcinali mu nogi, wrywali wielkie pióra ze skrzydeł, poczem ptaka obwijali w liście palmowe i suszyli w dymie, przez co ciało jego się kurczyło do ostatecznych rozmiarów, pióra zaś tem większego nabierały blasku. Ponieważ takie tylko ptaki przywożono do Europy, a nikt żywego nie widział, ani nie wiedział, co krajowcy z ptakiem tym robią, opisywano go tak, jak go widziano... Stąd bajeczka gotowa!

— Ciekawy jestem, kto też pierwszy wyświetlił prawdę?

— Na szczęście ciekawość twą zaspokoić mogę. Uczony francuski lekarz i przyrodnik Lesson, biorący udział w podróży naokoło świata w r. 1824, przebywający przez krótki czas na wyspach Papuańskich, zgromadził kilkanaście całych i nieuszkodzonych skórek raj-

skich ptaków i pierwszy udzielił wiarogodnych wiadomości o ich życiu i obyczajach, obalając krążące o nich baśnie. Żywe te ptaki pierwszy zaś przywiózł do Europy Alfred Russel Wallace, który zakupił je w Singa-pore, płacąc za nie 100 funtów szterlingów!

— Żałuję ja, że nie zobaczyłem rajskiego ptaka, ale gdyśmy się rozeszli z Waciem, zobaczyłem tam szczególną rzecz. Wędrując po zaroślatach, znalazłem kilka ciekawych altanek. Altanki te stały na ziemi pod osłoną zwijających się gałęzi drzew. Podstawa tych altanek była z gęsto splecionych gałązek, a dalsza budowa z cieńszych różeg, tak ustawionych, że końce ich stykały się u góry. Koło altanki, dla wzmocnienia budowy, pełno było kamieni, ale tak zręcznie ułożonych, że pomiędzy nimi znajdowały się jak gdyby ścieżki. W altankach tych, w jednej z ścian ozdobionych najrozmaitszymi barwnymi piórami, znajdowały się otwory. Altany te są najrozmaitszej wielkości. Domyślałem się, że są to gniazdka ptaków, ale nie chce mi się w to bardzo wierzyć. Czy pan widział kiedy takie altanki?

— Niejednokrotnie! Altanki te buduje cały szereg ślicznie ubarwionych ptaków, dochodzących wiel-

kością szpaka. Widziałem nawet niektóre z tych ptaków przy budowie tych misternych gniazdek!

— Niech nam pan opiszę któregośkolwiek z tych ptaszków!

— Chętnie. Do tych budowniczych należy tak zwany ptak atlasowy. Posiada on ciemno-błękitną, jak atlas połyskującą szatę, lotki, pokrywy i pióra ogona czarne jak aksamit, nogi czerwone, a dziób na końcu żółty. Ale rozgadaliśmy się na dobre, a już późno. Tacy niby zmęczeni byliście z wieczora...

— Jakoś zmęczenie to przeszło nam samo z siebie!

— Mnie się zupełnie, a zupełnie spać nie chce!

— Tak ci się zdaje. Jestem pewny, że gdy tylko przyłożysz głowę do poduszki, zaśniesz jak zabity!

Jak przepowiedział doświadczony Samotnik, tak się stało. Chłopcy, zaledwo położyli się do łóżka, pozasypiali smacznie i śniło im się, że są w Gdańsku.

### Zwiedzanie osady śpiewaków.

Późno położywszy się na spoczynek, spali też chłopcy dłużej niż zwykle.

Wstali więc szybko, ubrali się, jak można było najprędzej, a zjadłszy śniadanie, ruszyli za Samotnikiem pomiędzy śpiewaków.

Na wstępie przyjął ich ptaszek ciemno-szary, z zielonawym odblaskiem na grzbiecie, z białą plamą na podgardlu, świercząc przenikliwym głosem.

— No, tego chyba z jego głosikiem nie można uważać za śpiewaka! Skądże on się tu wziął w osadzie śpiewaków?

— Jest to jerzyk. Więcej tu jeszcze spotkacie w osadzie ptaszków, które nie śpiewają, a tutaj się gnieźdzą. Ot, tam na prawo widzicie znaną wam dobrze jaskółkę... Tam macie kruka, tam wrony, kawki, a tu na gałązce siedzi pan jemiółuch.

Pan jemiółuch zasługiwał na wyróżnienie, był bowiem bardzo pięknie upierzony. Miał na głowie jedwabisty, trzy centymetry wysoki czubek, głowę i szyję aż

do grzbietu czerwono-szare, grzbiet zaś brunatno-popielaty. Wierzchnia część jego piersi była czerwono-szara, podbrzusze srebrzysto-siwe, podgardle czarne, a przez oczy przechodziła mu aksamitna, czarna pręga. Tylne loki brunatno-szare, przednie matowo-czarne zdawały się na końcach umyślnie poprzycinane. Pióra te jasne, cynobrowo-czerwone, w liczbie pięciu do dziewięciu, nie mało dodawały ptakowi ozdoby. Pokrywy lotek, czarne z białymi końcami, a pięć z nich miało cytrynowo-żółte końce. Bardzo długie dolne pióra w pokrywach ogona miały barwę czerwono-brunatną.

Chłopcy nie wiedzieli, co więcej podziwiać, czy skrzętną robotę ptaszków przy budowie gniazd i robotę wspólną, ale tak doskonale podzieloną, że nigdy jedne drugim nie przeszkadzały.

Właśnie gdy Samotnik zwrócił uwagę chłopców na wilgi, przyleciała samiczka z żdźbłem trawy w dzióbku i starała się jeden koniec tego żdźbła przytwierdzić do gałązki. Widząc to, jemioluch pochwycił drugi wolny koniec do dzióbka i zaczął z nim oblatywać na około drzewa, opasując żdźbłem w ten sposób gałązkę i starając się utwierdzić je w rozwidleniu gałęzek.

— A to co za wspaniały czerwony ptak?—zapytał jeden z chłopców.

— To kardynał! Spokrewniony on jest z trzandlami!

Wacio tymczasem pochwycił małego ptaszka. Drobna ta ptaszyna miała zaledwie 9 centymetrów długości, z czego na ogon przypadało 3 centymetry. Ptaszek posiadał upierzenie rdzawo-brunatne z ciemniejszymi pręgami, gardziel i piersi czerwono-białe, pod spodem poprzeczne, falisto-pręgowane

— Prawda, proszę pana, że to „wole oczko?“

— Tak to strzyżyk, zwany także „wole oczko“ lub „mysi królik“!

— Ciekawym, dlaczego nazwano go mysim królikiem?

— Istnieje bajka taka, że ptaki postanowiły wybrać królem tego ptaka, który najwyżej wzniesie się ku słońcu. Pełen majestatycznej powagi wznosił się orzeł w szlaki powietrzne i szybując coraz wyżej i wyżej, prześcignął wszystkich współzawodników. Pewny zwycięstwa, dumny ptak ważył się na skrzydłach, spoglądając na rzeszę swych współzawodników, pozostałą gdzieś daleko w dole, gdy wtem usłyszał nad sobą

wesołe, jakby szydercze świergotanie. Spojrzał w górę i zobaczył tego figlarza, którego trzymasz w ręku. Chytry ptaszek siadł potajemnie na grzbiet orla i gdy ten wzbił się do możliwej wysokości, wtedy rozwinął swoje skrzydełka i wzleciał jeszcze wyżej. Ponieważ on zatem dopełnił warunków ptasiego „recordu“, nazwano go na pamiątkę mysim królikiem!

— Ładna bajeczka!

— Prawda, ładna bardzo, jabym jednak wołał, żeby nam pan pokazywał resztę ptaków, łazimy już bowiem dosyć długo, nie wiele widzieliśmy, a postanowiliśmy przecież dokładnie zwiedzić osadę śpiewaków!

— O, mój drogi, toć sama rodzina właściwych śpiewaków składa się z przeszło czterystu gatunków? Gdybym ci chciał tylko nazwać każdego z ptaków latających tutaj, koło nas, potrzebowałbym już więcej, niż dzień czasu na to. Jestem tu już na wyspie kilka lat, co roku zwiedzam, o ile możności dokładnie tę osadę, a przecież jeszcze nie mogę powiedzieć, bym poznał wszystkie gnieźdzące się tutaj ptaki. Pokażę wam jeszcze tylko kilka gatunków i musimy wracać do domu. O, tu macie świtunkę! Buduje ona sobie gniazdko w kształcie pieca chlebowego z otworem z boku. Tu

macie gajówkę szczebiotliwą. Śpiewa ona tak pięknie, że nazwano ją podsłowikiem. Gdyby się wam chciało połączyć tam, nad wodami, zobaczylibyście w sitowiu i trzcinach ptaszki, obdarzone wprawdzie miłym, ale jednostajnym świergocącym głosem. To trzciniaki, trzcionki, łozówki, wodniczki, brzęczki, strumieniówki. Lud gdzieniegdzie nazywa te ptaszki, wróblami trzcinowatymi.

— A to co za miły śpiew słyhać?

— To śpiewa drozd. Doskonały to śpiewak i niektórzy amatorzy śpiewu ptaków, po śpiewie słowika lubią najbardziej śpiew drozda.

Trzej mieszkańcy „Raju ptasiego“ zmieniali się po kolei, przy wykonywaniu różnych czynności koniecznych do utrzymania życia; kolejno każdy z nich musiał zająć się porządkowaniem mieszkania i przyrządzaniem posiłku. Czasem tylko, gdy wybierali się gdzieś razem, na wspólną wycieczkę, we trójkę, załatwiali konieczne czynności wspólnymi siłami, zabierali do koszyczków zimną przekąskę i wyruszali w świat, nierzadko wracając do osady dopiero wieczorem.

— Liczba papug — mówił pewnego razu starszek—jest bardzo wielka. Słyszałem od jednego z uczo-



nych, że jest 359 gatunków papug, a wszystkie tem są podobne do siebie, że noga służy im za przyrząd chwytny, dzięki czemu mogą z największą łatwością wlażyć na drzewa, mogą nogami chwytać pożywienie i nieść je do dzioba. Szczególną też mają budowę dzioba, przypominającą nieco dziób ptaka drapieżnego. Jest on stosunkowo bardzo silny, górna część jego jest półkulisto zakrzywiona z haczykowatym końcem, wystającym daleko po za dolną część dzioba. Z powodu różnaitości kształtów i upierzenia, jako też z przyczyny, że większe zwłaszcza papugi mogą naśladować dźwięki mowy ludzkiej, są one utrzymywane w mieszkaniach. Papugi, podobne do sów, są ptakami nocnymi, odznaczającymi się miękkim upierzeniem.



Sowa.

Chłopcy, którzy już nieraz papugi widywali w mieszkaniach i różnych parkach, z przyjemnością odszukiwali teraz dawnych znajomych.

Rozpoznali też zaraz najczęściej spotykaną *kakadu*

z żółtym czubem, o białem pierzu, siarczysto-żółtym czubie i czarnym dzióbkiem, *kakadu różową*, u której boki głowy, kark, spód ciała i dolne pokrywy zabarwione są na różowo; pióra na głowie przy nasadzie są też różowe, na końcach białe, grzbiet zaś skrzydła i ogon są szare.

Wackowi szczególniej podobały się małe papużki, nie wiele większe od kanarka, a z pomiędzy nich najbardziej ptaszek posiadający pokrywy skrzydeł, kark i policzki żółto i czarno pręgowane, spód, dolną część grzbietu i wierzchnie pokrywy ogona zielone, czoło i spód policzków żółte; na dolnej części policzków znajdowały się trzy czarne plamy, z niebieską poprzeczną pręgą. Pióra w ogonie miał ptak stopniowo ku środkowi coraz to dłuższe. Najdłuższe z nich, środkowe, były szaro-brunatne, pozostałe w środku żółte, przy nasadzie zaś i na końcach zielonawo-niebieskie.

Samotnik, widząc, że Wacia zajmują małe papużki, wyszukał jedną z najmniejszych, tak zwaną *lori* i pochwywszy ją, otworzył jej dzióbek i pokazał Waciovi język tej papużki. Język ten miał na końcu kształt pendzelka. Papużki te wysysają słodką ciecz z miodników kwiatów, z rozlicznych drzew i krzewów.

Dobłą też chwilę przypatrywali się wszyscy z zajęciem papużkom, tak zwanym *nierozdzielny*.

Papużki te zdawały się rzeczywiście nierozdzielni. Gdy jedno wleciało na gałązkę, zaraz to samo robiło i drugie, jedno poruszyło głową lub ogonkiem, poruszył się ogonek i głowa, „ jak gdyby mimowoli, i u drugiego.

Podziwianie papug przerwało chłopcom głośne „ku-ku!“, „ku-ku!“.

— O, kukułka!

— Przyznam się panu, że słyszałem już tyle razy jej kukanie, nigdy jednak jej samej jeszcze nie widziałem!

— Nic dziwnego, ptak to płochliwy i dziki, trudno go więc zobaczyć. Zaczekaj jednak chwilę, może się nam pokaże!

Chłopcy nie czekali długo. Z pomiędzy gęstej korony drzewa wyleciało ptaszę 25 może centymetrów długie. Ptaszę to posiadało upierzenie z wierzchu pięknie popielate, z jaśniejszem podgardlem, spód białawy z poprzecznymi czerniawemi pręgami. Na długich lotkach na wewnętrznej stronie chorągiewki były białe plamy; podobne też pióra znajdowały się w ogonie.

Dziób szary był przy nasadzie żółty, nogi również  
- żółte.



Tukan.

Uwagę chlopców od kukulki odwrócił ciekawy  
ptak. Ciało jego wynosiło 57 centymetrów, sam zaś

dziób 18 centymetrów. Barwę dzioba miał ten ptak czerwono-pomarańczową, z wierzchu ognisto-czerwoną, z wielką czarną plamą na końcu. Upierzenie jego było czarne, tylko pierś, podgardle i wierzchnie pióra ogonowe śnieżno-białe, nogi prawie niebieskie, koło oczu znajdowała się trójkątna żółta plama. Ptak ten był to *pieprzoad* czyli *tukan*.

— Indyjanie w ciekawy sposób polują na te ptaki, celem pozyskania piór. Strzelają oni do nich słabo zatrutemi strzałami; pociski takie czynią ptaki na chwilę niezdolnymi do lotu, lecz nie wyrządzają im wielkiej szkody; po wyrwaniu piór puszczają ptaki na wolność, a te wkrótce przychodzą do siebie i porastają w nowe pióra. Tym sposobem Indyjanie zaspakajają swoje zbyt kowne zachcianki, z piór wyrabiają wspaniałe płaszcze i okrycia na głowę, a ptaków nie niszczą.

Następnie pokazał Samotnik chłopcom *krętogłowa*, ptaka mającego 17 centymetrów długości, barwy z wierzchu i na ogonie szaro-brunatnej, z czarnemi pręgami, pod spodem białej z małemi ciemno-brunatnemi poprzecznymi pręgami i centkami. Gardło tego ptaka było blado-żółte z delikatnemi czarnemi falistemi liniami; po za oczyma znajdował się szeroki pas ciemno-bru-

natny. Nogi były szaro-żółte; taką samą barwę miał stożkowaty, bardzo ostro zakończony dziób.

Samotnik zwrócił uwagę chłopców na język ptaka, długi, wysuwalny, na końcu okrągły, rogowaty.

Ptak siedział przy mrowisku i wsuwał doń swój długi język. Mrówki, myśląc, że to robak jakiś, rzucały się z wściekłością na język i obsiadały go dookoła, lgnąc do kleistej cieczy, którą język był powleczony. Tak obladowany język, wciągał ptak do dzioba, racząc się mrówkami.

Wacio zaciekawiony zbliżył się do krętogłowa i chciał go pochwycić. W tej chwili jednak ptak położył się na ziemi, rozpuścił nieco skrzydła, nastroszył pióra i wyciągnął szyję, kręcąc nią tak, że dziób ukazywał się to u góry, to u dołu. Przytem przymrużył oczy i wydawał syk, podobny do syku węża.

— A to figlarz, naśladuje węża, żeby mnie odstraszyć od siebie!

— Nazwano go też krętogłowem dla tych dziwacznych ruchów!

Gdy chłopcy napatrzyli się do syta krętogłowowi i dzięciołom, spacerującym po drzewach, pokazał im Samotnik ptaki tak zwane *kalao*.

Ptaki te posiadały olbrzymich rozmiarów dzioby, opatrzone wielkimi rogowemi naroślami. Gnieźdzą się one w dziupli drzewa. Gdy samica wejdzie do dziupli, samiec zalepia otwór gliną, pozostawiając tylko mały sercowaty otwór. Tak zamurowaną samicę żywi samiec przez cały czas legu i uwalnia ją dopiero wtedy, gdy małe ptaszki zdolne są do lotu.

Napatrzywszy się jeszcze do syta *zimorodkom* i dudkom, chcieli chłopcy wracać do domu, gdy Wacio spojrzawszy w górę, zobaczył małe ptaszki, i to tak małe, że zdawało się, że to nie ptaki, lecz jakieś owady. Ptaszki te były prześliczne!

— A coż to za klejnoty latają tam w górze?

— To kolibry!

Wacio słusznie nazwał te ptaszki latającymi klejnotami. Długie, wąskie skrzydełka ptasząt tak szybko unosiły drobne ich ciało w powietrze, że niepodobna było prawie dojrzeć ich ruchu. Widać tylko było, jakby obłoczek pary otaczający iskrzące się barwami drogich kamieni ciało ptaszka.

— Ach, jakżebym pragnął ptaszkom tym przypa-  
trzeć się z blizka!

— Możemy próbować, czy nie uda nam się którego z nich złapać!

Usiłowania trzech łowców na kolibry zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem. Samotnik i Wicio schwytały po jednym ptaszku, a tak się im jakoś szczęśliwie udało, że każdy z nich pochwycił innego. Samotnik mianowicie pochwycił *kolibra białogłowego*, Wicio zaś *kolibra wspaniałego*.

Tło upierzenia kolibra białogłowego było ciemno-brunatne z purpurowym i miedzianego koloru połyskiem, oraz silniejszym ku tyłowi ciała; średnie sterówki były jasno brunatne, boczne białe z brunatnymi centkami na końcach, wierzch główki śnieżno-biały.

Koliber wspaniały był nieco większy od kolibra białego. Upierzenie miał miedziano-brunatne, podgardle zielono-złociste, nad czołem jego wznosił się czubek cynamonowej barwy. Szyję otaczał wspaniały kołnierz z białych i ciemno-zielonych, świetnie połyskujących piórek.

W chwili, gdy chłopcy przypatrywali się kolibrom, odgłosy jakieś poczęły napełniać powietrze.

To zdawało się, że zdala dochodzi bicie dzwonów, to słychać było głosy podobne do zgrzytania kół zęba-



tych w maszynie, to zdawało się, że syczy kamień szlifierski, to przeziął powietrze świst lokomotywy, to miauczenie kota, to kwiczenie świni, to ryk bydła.

Zadziwieni chłopcy przesłuchiwali się tym ciekawym odgłosem i wprost nawet wierzyć nie chcieli, gdy im Samotnik powiedział:

— To krzykacze koncertują! Chodźcie za mną, pokażę wam dwa ptaki z tego gatunku. Oto tu macie gniazdko jednego z nich: *garncarza!*

Na poziomo sterczącej gałęzi znajdowało się gniazdko wymurowane z gliny.

— Napatrzyłem ja się dosyć, w jaki to sposób pan garncarz to swoje gniazdo buduje. Budową zajmuje się wspólnie samiec i samica. Najprzód zakładają fundament z gliny i błota, lepiąc z tego materiału bryły wielkości kuli karabinowej. Gdy już fundament ma 20—25 centymetrów długości, wtedy na obu końcach wznoszą brzeg, wysoki na 5 centymetrów, lekko z boków na zewnątrz pochylony. Ptaki zaprzestają dalszej budowy, czekając aż ten mur wyschnie. Gdy to nastąpi, budują dalej, dając stopniowo brzegowi nachylenie do środka, a gdy wyschnie, zasklepiają go z góry.

Z jednego dłuższego boku pozostawiony jest okrągły otwór, służący na wylot wysoki 7—10 centymetrów, a szeroki na 5 centymetrów. Brzeg wewnętrzny jest pionowy, zewnętrzny zaś łukowato wygięty. Wewnątrz miejsce do wysiadywania jaj jest oddzielone małą do połowy wysokości sięgającą ścianką, a dno ma podłogę ubitą z gliny, wyslaną źdźbłami traw i kłaczkami bawełny; tam składa samica dwa do czterech białych jaj, które wysiadyuje.

Wracając, spotkali chłopcy drugiego ptaka, którego Samotnik obiecał pokazać, a mianowicie *menure pyszną*.

*Menure pyszną* nazwano tak dla tego, ponieważ posiada długi, kształtu lutni ogon. Długość ptaka dochodzi do 1 metra, ogona zaś do 70 cm. Z wierzchu *menura* jest szaro-brunatna, pod spodem jaśniejsza, podgardle ma rdzawe. Oba zewnętrzne pióra ogonowe są wygięte na zewnątrz w kształcie lutni; są one pięknej, czarno-brunatnej barwy, wewnętrzną chorągiewkę mają czerwono-brunatną z dwudziestu poprzecznymi jasno-rdzawymi pręgami. Od spodu pióra te są rdzawo-żółte i białe. Oba środkowe pióra w ogonie mają chorągiewkę brunatną, inne zaś są rozpierzchłe i otaczają,

jak gdyby zasłoną, tamte pióra, naśladować niejako struny lutni.

### W osadzie szczudłowatych.

Gdy chłopcy pragnęli iść dalej w głąb wyspy, Samotnik rzekł:

— Wiecie co, kiedy już tu jesteśmy, to pójdźmy jeszcze do osady szczudłowatych!

— O, to pewnie będą jakieś ptaki, posiadające długie jak szczudła nogi!

— Tak jest rzeczywiście. Ptaki te posiadają długie nogi, bardzo rzadko spięte błoną. Liczne ich grupy dzielą się na dwie rodziny: biegających i brodzących.

Wkrótce chłopcy znaleźli się w osadzie szczudłowatych.

Okolica, co prawda, nie była tu zachwycająca. Dostyc duża rzeka rozlewała się szeroko, tworząc bagna, porośnięte sitowiem i szuwarem, w dali widać było brzeg urwisty, a za nim wspaniałe morze.

— No, teraz, moi panicze, ostrożnie za mną krok za krokiem, zboczenie bowiem ze znanej przeze mnie ścieżki, może pociągnąć za sobą mniej przyjemną kąpiel błotną, a czasem i co gorszego!

Zaledwo chłopcy poczuli się posuwać ostrożnie za swym przewodnikiem, dał się słyszeć głos jakiegoś ptaka.

— Ho, ho, pani czajka już daje znać wszystkim błotnym ptakom, że przybywają goście! Bez przerwy unosi się ona w powietrzu, od rana do wieczora, a nawet po części i w nocy, śpiąc tylko w głuchą północ. W jasne noce księżycowe można ciągle głos jej słyszeć, jak gdyby nigdy nie spoczywała. Pomimo jednak to, a może właśnie dlatego, idąc za jej głosem, bardzo łatwo trafić do jej gniazdka, zwykle bowiem nad niem się unosi. Ot, zrobimy zaraz próbę!

Próba się udała. Idąc ostrożnie za głosem ptaka, znaleźli się na małym pagórku.

Gniazdko nie przedstawiało nic tak dalece ciekawego. Był to sobie po prostu dołek wygrzebany przez ptaka, wysłany żdźbłami i korzonkami; — proste to jednak gniazdo dziwnie zajęło Samotnika. Oglądał je

bardzo dokładnie, jak gdyby pomieszany zeszedł na dół, każąc chłopcom zaczekać na siebie na pagórku, a po chwili powrócił, ale był tak zamyślony, że chłopcy zauważyli to zaraz:

— Co panu jest? Wygląda pan, jak gdyby pana spotkało coś nieprzyjemnego?

— Jeszcze dotychczas nie spotkało mnie nic, obawiam się jednak, czy nie grozi nam jakie niebezpieczeństwo. Czajki tego roku pozakładały bardzo wysoko swe gniazda, przeczuwają więc widocznie wylew rzeki lub morza.

— A czy pan pamięta tu już taki wylew?

— Nie! Właśnie dlatego też się obawiam, bo każde niebezpieczeństwo nieznane, groźniejsze jest od tego, któremu już nieraz zaglądaliśmy w oczy!

Rozmyślania o niebezpieczeństwie przerwało stado *dropi*, ciągnących na żer. Przodem leciały młodsze i słabsze ptaki, za nimi starsze i silniejsze. Wybrawszy sobie miejsce zupełnie otwarte, niedaleko pagórka, dropie opadły na ziemię!

Były to ptaki tego wzrostu, co indyki. Z wierzchu żółtawo-siwe z czarnymi poprzecznymi pręgami, z głową jasno-siwą, z długimi sterczącymi na dół roz-

pierzchłemi piórkami, tworzącemi jak gdyby brodę. Dropie miały na szyi rdzawo-brunatną obrączkę, zaś spód ciała, brzeg skrzydeł, lotki i pokrywę skrzydeł białe.

— Tamta gromada dropi, to dropie brodacze, tu zaś na lewo macie tak zwanego *dropia strepeł*.

Drop strepeł jest znacznie mniejszy od dropia brodacza, dochodzi on bowiem zaledwo tej wielkości co kura, jest jednak niemniej pięknym ptakiem. Wierzch jego ciała i boki piersi mają żółtawo-brunatną barwę, upstrzoną mnóstwem czarnobrunatnych centek i falistych ptaków. Brzegi skrzydeł, pokrywy ich i podbrzusze są białe. Na jasno-brunatnej głowie mają czarne kropki. Policzki i podgardle są niebieskawoszare; głowa, szyja i kołnierz są czarne, z białą przepaską na podgardlu. Środkowe sterówki białego ogona mają barwę brunatną z czarnymi pręgami. Samica nie posiada kołnierza z piór, upierzenie jej jest ciemno-żółte, czarno-upstrzone.

Gdy chłopcy zeszli z pagórka za swym przewodnikiem, ujrzeni *żórawie*.

Piękne te, wspaniałe ptaki, mające sięgu prawie półtrzecia metra, były przeważnie popielato-szare, pod-

gardle tylko, wierzch głowy i loki posiadały czarne. Pokrywy skrzydeł i ogona miały bogato upierzone długimi kędzierzawymi piórami.

Żórawie szły lekko i szybko, stąpając szerokim miarowym krokiem. Ujrzawszy przypatrujących im się, przystanąły i w przystępie widocznie dobrego humoru, poczęły wyprawiać najpocieszniejsze skoki, machając skrzydłami i kłaniając się na wszystkie strony. Chłopcy aż się za boki od śmiechu trzymali, patrząc na te zabawne ruchy.

Ukloniwszy się z powagą żórawiom i podziękowawszy im za bezpłatne widowisko, poszli chłopcy następnie dalej ku rzece. Na rzece pływały *kokoszki wodne*, posługując się z wielką zręcznością skrzydłami, jak wiosłami. Na widok przybywających zniknęły jak błyskawice, pogrążając ciało całe w wodzie, a wystawiając na powierzchnię tylko końce dzióbów, celem zaczerpnięcia oddechu. Manewry te powtarzały ptaki kilkakrotnie za najmniejszym szelestem, a chłopcy nie mogli się dosyć nadziwić zręczności, z jaką to czyniły. Byliby może postali jeszcze dłużej, ale Samotnik szepnął:

— Patrzcie na prawo, kroczy tam poważnie *ibis* *czczony*, ptak, któremu Egipcyanie oddawali cześć boską. Ciało jego po śmierci balsamowano; w jednej z piramid znaleziono tysiące mumii ibisów.

Ibis kroczył rzeczywiście poważnie, ubrany w białą szatę, od której pięknie odbijała granatowa barwa jego lotek, czarna naga głowa, szyja i zakrzywiony dziób, tudzież silne, brunatno-czarne nogi.

Za ibisem, jak gdyby przedrzezniając mu się, posuwał się rzeczywiście dziwny ptak.

Był on długi na półtora metra, podobny do bociana, na wysokich, ciemnych nogach. Szyję miał stosunkowo krótką, zakończoną grubą głową, na której był osadzony, pomimo swej długości, nadzwyczajnie na szerokość rozrosły dziób, bardzo z kształtu podobny do drewnianego trzewika; dlatego uczeni nadają temu ptakowi nazwę bociana z dziobem trzewikowym, albo z wielorybią głową.

— Przypatrzcie się temu ptakowi dobrze, dosyć go bowiem trudno spotkać. Pędzi on życie w ukryciu i niechętnie opuszcza swą ulubioną siedzibę wśród trzciną zarosłych bagnisk!



Wicio jednak nie słuchał tej rady Samotnika i po-  
pędził naprzód, aby zobaczyć *czerwonaki*. Ciało tych  
ptaków było stosunkowo krótkie, w porównaniu z bar-  
dzo długimi nogami i takąż szyję, było ono śnieżno-  
białe, z różowym odcieniem. Skrzydła czerwonaków są  
czerwone, lotki czarne, nadzwyczaj długie, nogi purpu-  
rowo-czerwone. Szczególną budowę mają ich żółte, na  
końcu czarne dzióby, są one bowiem we środku, jak  
gdyby nagle załamane na dół.

— Ho, ho! mój paniczu, podobają ci się czerwono-  
naki, nie wybiegaj jednak sam naprzód i nie zapomi-  
naj o mej przestrodze, jeżeli nie chcesz się w bagnie  
utopić!

— Przyrzekam poprawę i proszę o przebaczenie,  
zapomniałem bowiem rzeczywiście na chwilę o tem, że  
znajdujemy się na bagnie.

— Poprawa cokolwiek spóźniona co prawda—wie-  
czór bowiem się zbliża, kawał drogi do domu i trzeba  
pomyśleć o powrocie!

— Jeszcze chwileczkę, mój panie! Tam bowiem  
dalej, widzę jakieś ptaki, których nie poznaliśmy do-  
tychczas! Podejdźmy ku nim!

— Dobrze. Jest tam kolonia *czapli*. Widzisz jednak, Wiciu, czaple dalej, a tuż koło siebie nie zauważyłeś ptaszka, bądź co bądź także dosyć ciekawego?

— Gdzie?

— O, tu zaraz, prawie przy twych nogach!

Wicio i Wacio wyteżyli wzrok we wskazanym kierunku, nic jednak nie mogli zobaczyć. Wtedy Samotnik wziął w rękę jakąś kulę, która im się zdawała podobną do kawałka ziemi leżącej na bagnie, i pokazało się, że to ptak *bąk*, umiejący przybierać najrozmaitsze, nieraz dziwaczne postacie.

— A to ci figlarz dopiero! Mogłem przejść koło niego siedemdziesiąt siedem razy, raz po raz, a aniby mi na myśl nie przyszło, że to pan bąk leży taki zacajony!

Pan bąk nie był znowu takim małym ptaszkiem. Miał on ze 70 centymetrów, barwy był żółto-brunatnej, centkowanej rdzawo i czarno, wierzch głowy miał całkiem czarny, podgardle białawe, dziób żółty.

— Śpi on przeważnie we dnie, a w nocy wychodzi na żer. Ciekawy też głos wydaje i nie zgodzono się dotychczas, w jaki to czyni sposób. Jedni utrzy-

muja, że wydaje ten głos, wetknąwszy dziób w wodę, inni uważają to za bajkę!

Zwiedzając kolonie *czapli*, najbardziej zachwycali się chłopcy *czaplą siwą*, *czaplą purpurową* i *jedwabistą*.

Czapla siwa ma ciało 90 cm. długie, spoczywające na brunatnego koloru 15 centymetrów długich nogach. Długą swą szyję nosi ptak zgrabnie wygiętą. Upierzenie czapli tej jest siwo-popielate, szyja i spód ciała białe, podgardle czarno-prążkowane, na głowie ma białą, czarno-obrzeżoną łatkę, dziób długi na 12 centymetrów, żółty.

Czapla purpurowa posiada czarną głowę, białe podgardle, czerwono-brunatną szyję.

Czapla jedwabista jest biała z czarnym dziobem i czarnymi nogami, z pięknymi wstęgami na tyle głowy i z ozdobnymi piórkami na grzbiecie. Jest to najpiękniejszy może z gatunków czapli. Wspaniała jej postać, jedwabiste, śnieżnej białości pióra, zgrabna budowa i żywe ruchy muszą się każdemu podobać.

W czasie powrotnej drogi opowiadał Samotnik towarzyszom swoim o wielkich koloniach czapli, znajdujących się na Węgrzech.



Czapla.

— Byłem ja tam z pastorem Baldamusem w r. 1847. Nad brzegami Cisy rozciąga się tam duża bagnista równina tak, że jak daleko tylko może oko sięgnąć, widzi się jeden las trzciny. Tam to, jak płatki śniegu w zieleni świecą pierzem białe ptaki. Są tam miejsca, mające najwyżej kilka tysięcy kroków obszaru, na których znajduje się sto lub sto pięćdziesiąt wierzb, a na każdej wierzbie 15 — 20 gniazd czaplích!

### Katastrofa.

Niebawem nastąpił odlot ptaków.

Pozostały tylko jeszcze na krótko drapieżne, rozbójnicze ptaki, jak kondory, orły, sępy, jastrzębie, pułhacze i t. p.

Pewnego razu Wicio z kolei zajął miejsce na skale Samotnika, a Wacio z Samotnikiem pozostali w domu. Tratwa była już od kilku dni gotowa, do robienia windy jeszcze się nie zabrali, porządkowali więc tymczasem mieszkanie, byle tylko nie siedzieć z założonymi rękami.

Od czasu odlotu ptaków nie czynili wycieczek po wyspie, bo i po co? Nic tam nie było do zobaczenia, a ciche gaje robiły nadzwyczaj ponure i przynębiające wrażenie.

— Wie pan co?... mam dziwne jakieś dzisiaj przecucie, że nas coś spotka, nie wiem tylko, czy będzie to co przyjemnego, czy smutnego!

— Przeczuc ja, moje dziecko, nie mam żadnych— a i nie bardzo co prawda w przecucia wierzę. Nie przypuszczam też, by nas mogło co po odlocie ptaków przykrzejszego jeszcze spotkać...

Nie skończył jeszcze Samotnik mówić, gdy dał się słyszeć huk jakiś podziemny, następnie ściany domku zadrżały.

— Na miłość Bożą, uciekajmy w pole!—Trzęsienie ziemi!

Przerażeni wybiegli, huk jednak nie powtórzył się po raz drugi.

Pomimo tego, ani Wacio, ani Samotnik nie mieli ochoty wchodzić do domku!—nie umieli też wytłomaczyć sobie, skądby huk ten pochodził. Stali tak pomieszani niezwykłym zjawiskiem, gdy nagle ujrzeli pędzącego Wicia.

— Musiał i on słyszeć ten huk podziemny i odczuć to dziwne drżenie ziemi i pędzi ku nam zaniepokojony!

Rzeczywiście Wicio musiał być nielada zaniepokojony, z daleka już bowiem wymachiwał rękami i krzyczał.—Samotnik pobiegł naprzeciw niemu.

— Woda, woda zalewa wyspę!

— Skąd, jak, co?

— Nic nie wiem, słyszałem tylko huk i takie silne wstrząśnienie, że upadłem na ziemię. Gdy powstałem, zobaczyłem morze silnie wzburzone;—spojrzałem na wyspę, w stronę rzeki, i ze zdziwieniem zobaczyłem poprzednio miejsce suche, zalane obecnie wodą. Przyszło mi na myśl, co nam pan mówił o czajkach, i biegłem co tchu, by was o niebezpieczeństwie uprzedzić!

Samotnik wobec niebezpieczeństwa nie tracił nigdy zimnej krwi. Wysłuchawszy opowiadania Wicka, rzekł:

— Żywo do roboty! Pożywienie i co cenniejszego mamy w domku, przeniesiemy na trawę!

Energicznie rzucili się chłopcy do wykonania rozkazu. Zaledwo zabrali się do roboty, posłyszeli głośny

szum zbliżającej się wody. To dodało im nowego bodźca;— wkrótce najpotrzebniejsze przedmioty znajdowały się na tratwie.



Kondoz.

— Teraz nic wam nie pozostaje, tylko czekać co się dalej stanie!

Nie długo potrzebowali czekać.



Na drodze prowadzącej do ich domku ukazał się wał wody. Rozbiwszy się o drzewa, wał zalewać począł powoli całą przestrzeń, i wkrótce tratwa została uniesiona w górę. Samotnik ujął za ster.

— Baczność, chłopcy, uważać na drzewa, odbijać od nich tratwę drągami. Musimy płynąć ku rzece i nie dać się wodzie unieść w miejsca zarosłe, tam bowiem łatwo moglibyśmy się rozbić! Dalej w Imię Boże!

Łatwo to było powiedzieć, ale trudniej wykonać.

Wody przybywało nieustannie. Widocznie skutkiem jakiegoś wewnętrznego wybuchu, morze zalewało wyspę.

Ponieważ przyływ, a raczej zalew odbywał się spokojnie, chłopcy uspokoili się, nabrali wprawy w odbijaniu tratwy od drzew i twarzyczki im nawet poweselały. Tylko Samotnik nie miał wcale wesołej miny. Co chwila spoglądał on z niepokojem na niebo, a to co widział, nie musiało być pocieszające, twarz bowiem jego powlekała się coraz większą chmurą.

Niepokój Samotnika wywoływały liczne chmury, gromadzące się na niebie. Doświadczony, wiedział dobrze o tem, że w razie burzy, groziło im poważne nie-

bezpieczeństwo rozbicia się statku o drzewa i zatonięcie!

Chłopcy zwrócili dopiero uwagę na niebo, gdy poczęło się gwałtownie ściemniać.

— Co to, słońce już zachodzi?

Samotnik rzekł:

— Spójrz na niebo!

— Jezus Marya!

Słońce widać nie było już zupełnie. Rozpierzchłe chmury zbiegły się razem i zasłoniły zupełnie niebo. Słychać było jakby jakieś dziwne dudnienie; nagle błyskawica rozdarła powietrze, a gwałtowny wichur pochylał koronami drzew.

Rozpoczęła się szalona walka żywiołów.

Zdawało się, że niebo i woda podały sobie rękę, by zgubić trzech żeglarzy.

O obronie nie było prawie mowy.

Tratwa jak łupina orzecha pędziła z fali na fale, uderzając to tu, to ówdzie o pnie drzew.

Nie było najmniejszej wątpliwości, że ostatnia chwila dla rozbitków wybiła.

Pierwszy też Samotnik złożył drag na tratwie i rzekł smutnym głosem:

— Wejdzmy do domku i polećmy się Bogu, nic nas już teraz wyratować nie zdoła!

W milczeniu złożyli chłopcy swe drągi i wsunęli się do domku na tratwie za Samotnikiem.

Nie widzieli już teraz nic, co się działo koło nich— zatopieni w modlitwie, prosili już nie o ratunek, lecz o zbawienie wieczne.

Zdała tylko dochodził do ich uszu trzask łamiących się drzew, a z nierównych poruszeń i podrzucania tratwy domyślali się, że płyną jeszcze.

### Ocalenie.

Jak długo trwała rozpasana walka żywiołów, nie umiałby żaden z nich powiedzieć.

Modlili się długo, długo, a potem klęcząc z oczyma utkwionemi w niebo, oczekiwali śmierci.

Śmierć jednak nie przychodziła.

Wówczas Samotnik wstał z klęczek i stanął na tratwie. Niebo zaczęło już tu i owdzie wypogadzać się, gwiazdki pokazywały się, a chmury rzedniały. Tratwa

pędziła lotem strzały, niesiona przez spokojniejsze już fale. Naokoło nie było widać żadnych drzew.

Rozejrzawszy się bacznie, poznał Samotnik, że znajdują się na rzece.

Na razie byli więc ocaleni, nie groziło im przy najmniej rozbicie o drzewa. Ale co potem?

Dziwna jakaś nadzieja zabłysnęła w sercu Samotnika.

— Czyliżby ten Bóg, który uratował ich przed chwilką z grożącego niebezpieczeństwa, ratował ich po to tylko, aby pozwolić im zginąć trochę dalej? Nie, to niepodobna!

Pokrzepiony tą myślą, poszedł podzielić się nią z Wickiem i Wackiem.

We trójkę teraz wyszli na pokład tratwy i z ufnością poglądali w niebo.

Po burzy, cudowna noc rozpostarła swe panowanie. Miliardy gwiazdek, rozsiane na niebie, zdawały się uśmiechać do chłopców i mówić im: „Bądźcie do brej myśli“.

Samotnik słuchał tego rozkazu skwapliwie, odzyskał dawną energię, twarz wypogodziła mu się jak owo niebo.

— A teraz, moi drodzy, kiedy niebezpieczeństwo minęło, idźcie wypocząć! Czuwać będziemy kolejno, ja pierwszy zacznę. Spocząć trzeba koniecznie, kto wie bowiem, jak wielkie czekają nas jeszcze przeprawy!

Chłopcy posłuchali i schronili się do domku, Samotnik zaś usiadł przy sterze.

Nie potrzebował nic pracować. Prąd rzeki niósł tratwę szybko, od czasu tylko do czasu trzeba było zręcznie skierować sterem, aby nie zboczyć z głównego prądu.

Doświadczony żeglarz czynił to bez najmniejszego wysiłku.

Dniało już, i słońce wychylać się zaczęło na horyzoncie, gdy tratwa wolniej zaczęła płynąć. Samotnik rozglądał się bacznie, a następnie zbliżył się do domku i rzekł głośno:

— Jesteśmy na morzu!

Chłopcy wybiegli. Jak daleko okiem sięgnąć, otaczało ich morze, ciche, spokojne, niczem nie zdradzające wczorajszej walki.

Na horyzoncie tylko czerniał mały punkcik. Dostrzegł go pierwszy Wicio, posiadający wzrok najbystrzejszy, i wskazał towarzyszom.

Z zapartym oddechem wpatrzyli się wszyscy w ten punkcik—niezem nie zdradzali swych myśli, można jednak było przysiąc, że wszyscy trzej myślą jedno i to samo.

Punkcik na horyzoncie powiększał się coraz bardziej i bardziej, aż wreszcie rozpoznać można było jego kształty.

— Okręt!

Tak, był to rzeczywiście okręt — zbliżał się całą siłą pary i pędził wprost ku nim.

Ocalenie było pewne.

W niedługi czas potem, trzej rozbitkowie znajdowali się na pokładzie „Błyskawicy“!

Kapitan przyjął ich bardzo gościnnie, a gdy opowiedzieli mu swe przygody, przyrzekł uczynić wszystko, by jak najprędzej mogli dostać się do Gdańska.

K O N I E C.



595312

160 -

PEDAGOGICZNA  
BIBLIOTEKA  
WOJEWÓDZKA



Gdańsk-Wirzeszcz  
Al. Gen. J. Hallera 14

111083